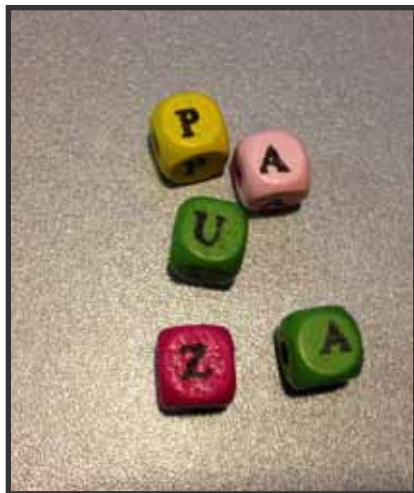


# gazel owwila

NR5 (25) 2013  
ISSN 2084-6932



004



004

## OD REDAKTORA

Jolanta Wroczyńska

006

## DROGOWSKAZY

*Menopauza, czas by zajrzeć w siebie*  
Agnieszka Czapczyńska

012

## BEZKRESY

*Ukraińsko-rumuńska Bukowina*  
Waldemar Ławecki

018

## NA PAPIERZE

*Niespodzianka*  
Kasia Bartsch-Cielebon

030



022

## CHOPIN WIECZNIE ŻYWY

*Wszyscy na przerwę*  
Piotr Mysłakowski

026

*W międzyakcie*  
Monika Mikołajek

028

## PIRUETY...

*Co robi tancerz w przerwie*  
Agnieszka Kaczorowska

030

## PROJEKTOR

foto Ryszard Żuchowski

047



036

## GUZIK

*Bawmy się modą*  
Klaudia Ofiara

040

## OD CZAPY

*Zadbaj o siebie*  
Karolina Dycja

042

## WIEDŹMA

powieść w odcinkach cz. XIX  
Kasia Bartsch-Cielebon

047

## BAJKI NOWE

*Czy fontanna w nocy śpi*  
Janina Kędziółka-Filip

048



048

## MYŚLI Z ŻYCIA

*Długa pauza*

Anna Ciemniecka

051

## ŻAK

*Antrakt*

Paweł Radźko

052

## SZORT MAT

*Budowa wszechświata*

Michał Lewandowski

056

## SZORT MAT

*Moje Muzeum*

Robert Borzęcki

062



058

*Muzyka w wielkim metrze (...)*

Dorota Kotowicz

062

## BABEL

*MY TRAVELS*

*Israel – Stuck elevator*

*MOJE PODRÓŻE*

*Israel – Zacięła się winda*

Agnieszka Thomassen

Wydawca  
Plstacja Media  
Katarzyna Bogucka

Stowarzyszenie Pi-stacja  
biuro@pistacjamedia.com  
biuro@pi-stacja.com  
www.pistacjamedia.com  
www.gazetownia.eu

Biuro reklamy  
marketing@pistacjamedia.com

Zespół Redakcyjny  
Katarzyna Bogucka  
Joanna Dudek- Ławecka  
Joanna Wroczyńska  
Jolanta Wroczyńska

Foto  
Katarzyna Bogucka  
Waldemar Ławecki  
Agnieszka Thomassen  
Artur Radźko

Ilustracje  
Aleksander Bogucki (pingwin)  
Mintoft (logo Chopin)  
Paweł Siwochowicz (wiedźma)

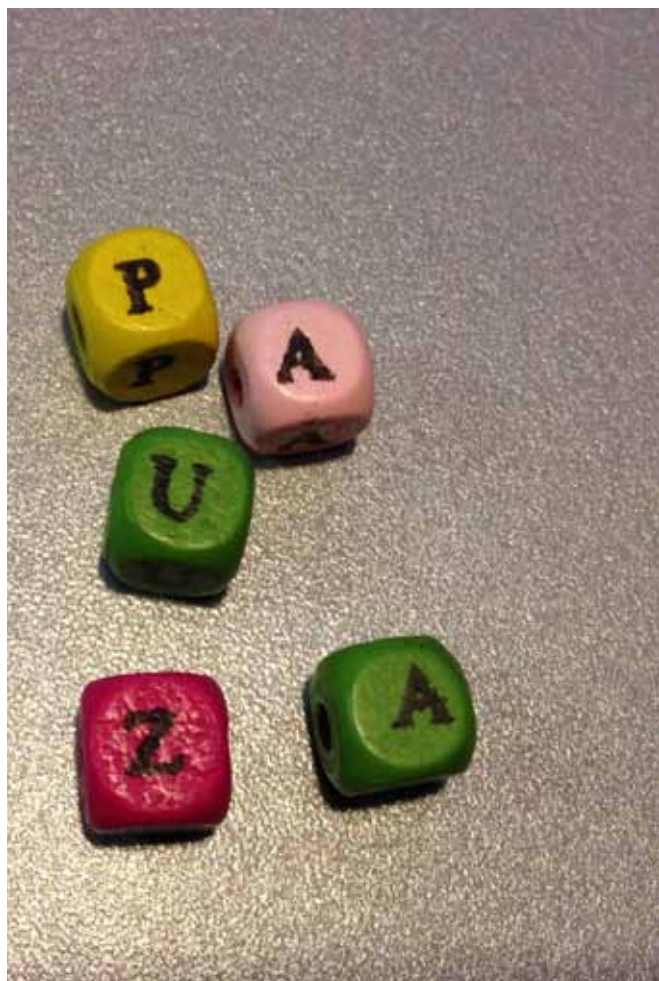
Opracowanie graficzne i skład  
Agnieszka Maślanka

Współpraca techniczna  
Agnieszka Betkier

Wydawnictwo zastrzega,  
iż dalsze rozpowszechnianie  
materiałów opublikowanych  
w piśmie Gazetownia bez zgody  
Wydawcy jest zabronione na  
podstawie art. 25 ust.1 pkt 1b  
prawa autorskiego.  
Copyright Plstacja Media 2013



# Od redaktora



Po co zastanawiamy się nad antraktem?  
Wszyscy wszak wiemy, że to przerwa  
pomiędzy aktami spektaklu, aby zmienić  
scenografię i dać wytchnąć aktorom, a widzom  
pozwolić na podzielenie się wrażeniami.  
Przerwa w szkole między lekcjami pozwala  
się zrelaksować, pogadać z koleżanką, albo  
odpisać zadanie domowe. Pauza nie jest  
ani początkiem, ani końcem. Jest czasem  
pomiędzy. Jak między rozbłyskiem na niebie  
a grzmotem nieopodal. Jest oczekiwaniem  
w strachu albo w nadziei – na coś co się  
wydarzy na pewno albo niekoniecznie. Zbyt  
długa pauza pomiędzy uderzeniami serca  
może być zagrożeniem dla życia.  
Zatrzymaj się więc na chwilę, zwolnij tempo,  
znajdź czas pomiędzy jedną sprawą a kolejną  
i zajrzyj do „Gazetowni”! Wśród wielu  
opowieści i wędrówek po świecie znajdziesz  
tu coś dla siebie, a może skorzystasz z rady  
Doroty:

„Chodzi raczej o to, by pokusić się  
o znalezienie czasu dla siebie w najlepszym  
tego słowa znaczeniu, o ofiarowanie sobie  
antraktu w życiu poprzez spotkanie ze sobą  
poprzez formę sztuki, która najbardziej  
nam odpowiada: poezję, taniec, muzykę czy  
rysunek; chodzi o to, by wyjść na spotkanie  
tej innej rzeczywistości i otworzyć się na  
działanie Nieoczekiwanego. A wtedy, kto wie?  
Może i ogórek zaśpiewa?”  
Miłej lektury!

Jolanta Wroczyńska

Twoją  
myśl  
przekażemy  
innym...

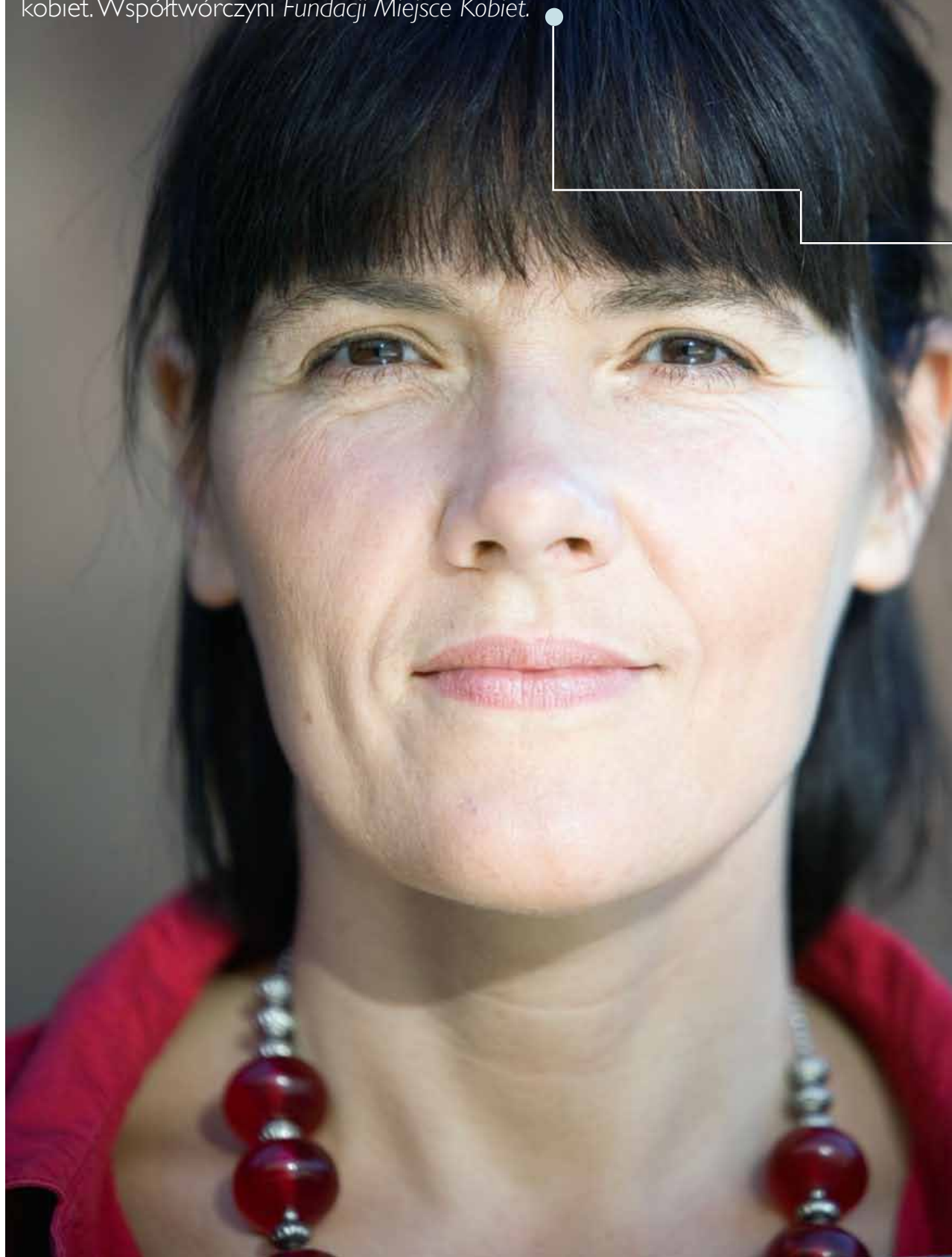


Na Twoje  
pytanie  
poszukamy  
odpowiedzi





**Agnieszka Czapczyńska** - psychoterapeutka, pracuje metodami terapii przez sztukę i psychologii zorientowanej na proces, specjalistka w zakresie przeciwdziałania przemocy w rodzinie, trenerka warsztatu Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Od kilkunastu lat zajmuje się terapią oraz warsztatami rozwoju osobistego dla kobiet. Współtwórczyni *Fundacji Miejsce Kobiet*.



# MENOPAUZA, CZAS BY ZAJRZEĆ W SIEBIE

Agnieszka Czapczyńska

*Menopauza to najlepszy moment by zajrzeć w głąb siebie.*

Dr Preeti Agrawal

Nasza kultura odbiera wartość starzeniu się. Nauczyliśmy/liśmy się wierzyć, że wraz z wiekiem stajemy się bezużyteczne/i. Świat bywa równie okrutny zarówno dla starszych mężczyzn jak i kobiet, choć z perspektywy płci, starzenie się kobiet ma jeszcze niższą rangę niż starzenie mężczyzn. „Siwy włos” mężczyzny jeszcze przez wiele lat potrafi dodawać mu prestiżu związanego z dojrzałością, władzą, mądrością. Jeśli chodzi o kobiety, kultura stwarza mit, że jesteśmy atrakcyjne dla innych, tylko kiedy mamy młode ciała. Zbliżanie się do wieku menopauzy wydaje się najgorszym co może się przytrafić... Tytuły artykułów w mediach skutecznie podtrzymują lęk przed menopauzą i przygotowują nas na przyście kataklizmu: „Jak chronić się przed uderzeniami gorąca i potami?”, „Zagrożenia związane z osteoporozą”, „Jak przetrwać menopauzę” lub wręcz „Leczenie menopauzy”. Jesteśmy uczone, że naturalne, fizjologiczne zmiany zachodzące wraz z wiekiem w kobiecym ciele stanowią jakiegoś rodzaju patologię, która wymaga medycznej interwencji. Za takimi poradami stoi jasna teza, że przekwitanie to rodzaj choroby, w wyniku której kobieta staje się nieznośna, nieatrakcyjna, niepotrzebna... Na szczęście to nie jedyna perspektywa!

W okresie przekwitania kobiecy system hormonalny przechodzi znaczące zmiany w swoim funkcjonowaniu, których doświadczamy w namacalny, czasem trudny sposób. To doświadczenie nie świadczy jednak o tym, że dzieje się coś złego. Zdaniem Dr Christiane Northrup, lekarki i pisarki, menopauza nie jest chorobą niedoboru estrogenów, lecz naturalnym procesem, który z perspektywy biologicznej może być uważany za zjawisko fizjologiczne stanowiące ewolucyjną ochronę przed niepożądaną prokreacją. Kobiety w okresie menopauzy mają poziom estrogenu niższy niż potrzebny do reprodukcji, ale zwykle jest on wystarczający do wspierania funkcjonowania tkanek.

A zatem wchodząc w menopauzę, nie zapadamy na śmiertelną chorobę, tylko zmieniamy się...

Czas, w którym przestajemy być płodne, jest uważany za szczególnie trudny. Ukuto nawet psychologiczne terminy na te doświadczenia np. „Syndrom zamykających się drzwi” czyli przygnębiające nastroje kobiet, bezsenność i lęk spowodowane starzeniem. „Syndrom opuszczonego gniazda” czyli macierzyński smutek związany z wyprowadzką dorosłych dzieci. Te określenia sugerują, że okres, w którym przestajemy w życiu być tak mocno skupione na macierzyństwie i opiekowaniu się innymi, musi oznaczać tylko wielką stratę. Jedyne co wydaje mi się w tym prawdą, to fakt, że menopauza jest czasem zmiany i niektóre doświadczenia z wcześniejszego okresu życia rzeczywiście nieodwołalnie się kończą. Jednak to czy zmiana ta nada naszemu życiu sens czy też go odbierze, zależy wyłącznie od naszego nastawienia.

**Menopauza** to czas, w którym w naturalny sposób możemy zacząć wycofywać swoją energię z innych i kierować ją w swoją stronę. To najlepszy moment, aby zajrzeć w głąb siebie, odnaleźć to kim jestem, dokąd zmierzam, co chcę zrobić z dalszą częścią swojego życia. Jak pisze dr Preeti Agrawal w książce „Kobieta i natura”: *„Kobietom, które boją się perspektywy nadejścia menopauzy, należy powiedzieć, że przekroczenie pięćdziesiątki, to nie schyłek życia, a raczej jego bardzo dobry początek. Ktoś cię urodził, ty możesz rodzić innych, a teraz masz szansę sama się narodzić. Przekonasz się, że to jest wielki zaszczyt i przywilej poznać samą siebie i przeistoczyć się w kobietę silną i mądrą.”*

Jak pokazuje historia, przez stulecia najlepszy okres sprawowania rządów przez królowe lub kapłanki przypadał na drugą połowę ich życia. Dojrzałość dla kobiet oznacza samodzielność. Uzdrowicielki, wiedźmy, położne nie były nastolatkami. Przez wieki, wiele społeczności korzystało z ich mądrości, wiedzy i umiejętności, a one same właśnie dzięki atrybutom swojego wieku stawały się wyjątkowo użyteczne dla całej wspólnoty. W wielu indiańskich plemionach rady starszych składały się z kobiet po menopauzie, którym przypisywano dar intuicji i które lepiej od mężczyzn potrafiły przewidywać skutki podjętych decyzji. Dojrzały kobiecy wiek niesie bardzo wiele atutów związanych z wiedzą, intuicyjną mądrością, współczuciem, doświadczeniem. W okresie płodnym kobiece życie jest zwykle podporządkowane najbliższymi i ich potrzebom: rodzinie, dzieciom, rodzicom i pracy zawodowej. Nie mamy czasu na nic więcej poza wywiązywaniem się ze swoich licznych obowiązków. Własne pasje odkładamy na później, bardzo często tak skutecznie, że po latach



już nawet nie pamiętamy, co to takiego było... Menopauza to z jednej strony czas końca pewnej fazy życia – tej związanej biologicznie z poświęcaniem się na rzecz wychowywania dzieci i tworzenia rodziny. Z drugiej strony, to początek powrotu do tego kim byliśmy od zawsze, do radości realizowania w życiu własnych celów i płynącego z tego poczucia spełnienia. Każda życiowa zmiana to szansa na pewne przewartościowanie tego co ważne, zadanie sobie pytań, na które w dotychczasowej gonitwie nie miałyśmy czasu. Menopauza to okazja jaką daje nam nasze ciało, aby zwolnić rytm i zadać sobie kilka kluczowych pytań. „Kim jestem?” „Jaki jest sens i cel mojego życia?” „Czym jest dla mnie szczęście?”. Według Joan Borysenko **„Menopauza jest jakby drugim okresem dojrzewania, inicjacją w drugą połowę życia, która może stać się okresem największej siły, vitalności i spełnienia”**. Statystyki mówią, że kobiety kończą okres metamorfozy związanej z menopauzą w wieku 48,4 lat.

Zmiany w kobiecym systemie hormonalnym polegają na spadku produkcji hormonów żeńskich estrogenu i progesteronu, oraz odpowiednim przyroście hormonów męskich. Poziom testosteronu, hormonu męskiego, po menopauzie zwiększa się dwudziestokrotnie w stosunku do poprzedniego okresu życia. Nie tylko na skutek wiedzy i doświadczenia, ale też w czysto fizjologiczny sposób dojrzałe kobiety mają szansę stać się bardziej „męskie”, bardziej nieugięte i znacznie mocniejsze niż dotychczas. Carl Gustaw Jung, twórca nurtu psychologii głębi, uważał, że druga połowa „czterdziestki” to czas, w którym ma szansę obudzić się w nas archetyp stażnika/czki, czyli tkwiąca dotychczas w uśpieniu naturalna potrzeba ochrony życia w wymiarze większym niż rodzinny, odpowiedzialność społeczna za otaczający nas świat, chęć służenia innym i Ziemi. Wiele kobiet aktywnych w życiu społecznym i politycznym, to właśnie kobiety urzeczywistniające potencjał Strażniczki, który przenosi nam wkroczenie w wiek średni.

Menopauza zmusza nas też do czułego zajęcia się własnym ciałem. Dla wielu kobiet wejście w okres przekwitania może stać się motorem napędowym do wprowadzenia wielu mądrych zmian dotyczących dotychczasowego stylu życia, np. zmiany diety, znalezienia czasu na ruch i dbałość o swoją kondycję fizyczną czy przestrzeni na rozwój intelektualny i duchowy. Podążając ścieżką transformacji, jaką prowadzi nas ciało, mamy paradoksalnie szansę odnaleźć to, co wydawało się całkowicie niedostępne w poprzednich okresach życia. Spokój wewnętrzny, sens, głębokie spełnienie...

Agnieszka Czapczyńska, Fundacja Nowy Świat Kobiet



# PAUZA DLA DUCHA I CIAŁA

K.S. Delta Warszawa, ul. Jeziorna 2, 02-911 Warszawa, tel. (22) 224 08 68  
[facebook.com/przystanekcafe](https://facebook.com/przystanekcafe), [www.przystanekcafe.com](http://www.przystanekcafe.com)

# SMAKI ŻYCIA

## KONKURS LITERACKI

### FOTOREPORTAŻ

*Każda chwila jest  
ważna ta słodka  
i ta kwaśna.  
Zatrzymaj chwilę  
w kadrze.*

*Ostateczny termin  
nadsyłania prac  
30 czerwca 2013  
godz. 23:59*

LITERACKI  
*Posmakuj życia  
literata i opisz  
słodko-kwaśną  
rzeczywistość.*

Stowarzyszenie PI-stacja

*Twoją myśl prześlemy innym*  
[www.pi-stacja.org](http://www.pi-stacja.org)

**FOTOGRAFICZNY**

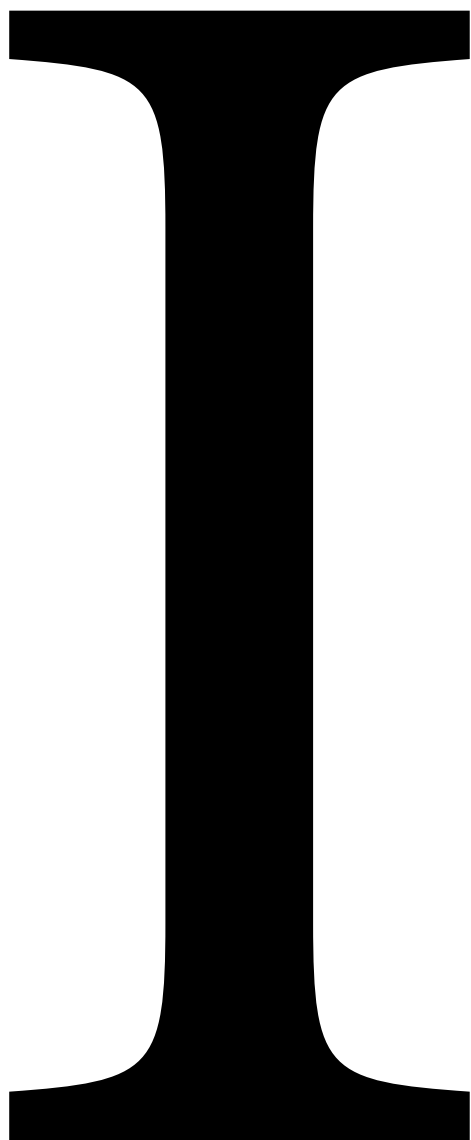


---

# *Ukraińsko-rumuńska Bukowina*

Waldemar Ławecki

---



Istnienie wszelkich granic między państwami to zjawisko i sztuczne, i umowne. Zawsze istniały jedynie granice naturalne. Krainy geograficzne i warunki w nich panujące zmuszały człowieka do przystosowania się do nich. Inaczej żyli ludzie w wysokich górach, a inaczej w delcie wielkiej rzeki. Inaczej na bagiennych mokradłach, a inaczej na płaskiej wysoczyźnie. Ta refleksja zawsze mi towarzyszy, kiedy odwiedzam Bukowinę – kiedy dojeżdżam do niej, jadę Zakarpaciem wzdłuż rzeki Cisy po jej prawym brzegu, będąc na Ukrainie i kiedy wracam po jej drugim brzegu, podróżując już po Rumunii. Tam oba Czeremosze, obie Cisy, rzeki wpadające do Prutu, Dniestru i Dunaju, biegnące głównym karpackim działem wodnym, rozdzielają krainy w naturalny sposób. Może więc i nic w tym dziwnego, że ich bieg wyznaczał niegdyś, a i obecnie także granice państw.





Sąsiadująca z tym obszarem historyczna Bukowina, zawsze tworząca naturalną jedną krainę, została mocą dyktatora po drugiej wojnie światowej przecięta na pół. Wspólna kultura, tradycja trwająca wiele stuleci, powiązania historyczne, ci sami władcy i okupanci, konieczność bronięcia się przed tymi samymi wrogami – słowem jedna ziemia i nagle jak przy linijce podzielona w poprzek. Stolica Bukowiny – Czerniowce, pozostała na Ukrainie, ale Putna z miejscem pochówku hospodara Stefana – tuż przy granicy już w Rumunii.

Bukowina to taka sama przyroda, to podobne krajobrazy. Ale atrakcje architektoniczne nie rozdzieliły się równomiernie. Najwspanialsze cuda – malowane klasztory wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturowego UNESCO mieszczą się w południowej Bukowinie. Ale najwspanialsze (obok Lwowa) galicyjskie miasto, austriacka stolica Bukowiny, leży nad Prutem

w pobliżu Czeremosza w jej północnej części.

Czerniowce zwane „małym Wiedniem wschodu”, przez Herberta nazwane „Aleksandrią Europy” to miasto położone na nierównym, mocno pofalowanym terenie, imponuje swoją wspaniałą architekturą. Zawiera ona elementy różnych kultur, ślady wielu ludów, które przez stulecia zamieszkiwali ten bukowiński tygiel. Znajdziemy tu mieszanekę stylów architektonicznych, baroku i klasycystycznego Wiednia, ale i przepych bizantyjski, budowle żydowskie i ludową ornamentykę bukowińską. Przez fakt gościnnego otwarcia na świat, tolerancję dla różności, ale i rozwój teatrów, powstawanie uczelni ze słynnym uniwersytetem na czele, kościołów, zborów, kirchy, synagogi, kościoła ormiańskiego, cerkwi prawosławnych i grekokatolickich – Czerniowce kipiały różnorodnością typową dla wielorakiego pogranicza.





Liczne domy narodowościowe, różnorodne organizacje społeczne i towarzystwa, których naliczono prawie 200 pod koniec XIX wieku, banki, przedstawicielstwa handlowe, połączenie kolejowe z Wiedniem, dopełniało obrazu metropolii. Ślady tych wspaniałości pozostały do dziś. Ostatnio wyremontowane ulice, chodniki, elewacje kamienic i pałaców, upiększają ogródki kawiarniane na spacerowych alejach, czyniąc Czerniowce miastem, którym nie można się nie zachwycić, tym bardziej jak poznaje się je po raz pierwszy.

Bukowina to malowane klasztory. To ewenement światowy. Najczęściej są to obronne klasztory z cerkwiami, budowane dla prostego niepiśmiennego ludu jako miejsce bezpiecznej kryjówki przed wrogiem, ale przede wszystkim, jako ośrodki wiary. To w nich mówiono co jest dobre, a co złem. Mówiono obrazami. Biblia przedstawiona słowem pisanym nie dotarłaby do prostych, nie

umiejących czytać chłopów. Ale biblia w dosadnych scenach namalowanych na wszystkich ścianach cerkiewnych budynków musiała niegdyś przemawiać pewnie jeszcze mocniej niż dziś. Historie biblijne w obrazach skłaniały do refleksji i zadumy. Scena sądu ostatecznego z korowodem świętych, idących do raju i grzeszników, strącanych do piekła, postacie diabłów, sceny wskrzeszenia zmarłych – to wszystko było i jest niezwykle wymowne. Dla tych, którzy nie mieścili się wewnątrz cerkwi prezentowano sceny z Biblii na zewnętrznych ścianach, specjalnie chronionych mocno wychylonym dachem. I właśnie te szerokie połacie dachów – okapy, broniące ścian przed deszczem i słońcem są charakterystycznym elementem architektury bukowińskiej.

Klasztorów na Bukowinie i w całej Rumuni jest wiele, kilkanaście jest bardzo cennych, ale tych wpisanych na listę najcenniejszych jest kilka. Każdy z nich



ma charakterystyczną, dominującą jakby wiodącą barwę.

Cerkiew w Putnej, niestety, straciła swe freski, ale mieszczą się w niej cenne sarkofagi z najważniejszym władcą mołdawskim, hospodarem Stefanem zwanym Wielkim, który jako pierwszy zjednoczył szereg sąsiednich księstw, dając jakby pierwowzór późniejszego zjednoczenia w ramach państwa rumuńskiego.

Monastyr Sucevita to najbardziej obronna budowla z potężnymi basztami i murem, to jednocześnie przykład najdoskonalszej, najbardziej harmonijnej architektury bukowińskiej. Freski mają dominującą zieloną barwę, tak jak otaczające łąki i łagodne wzgórza.

Monastyr Moldovita położony jest w środku wsi w pobliżu rzeki Moldawica. Obok scen biblijnych jego boczna ściana zawiera niezwykle wymowny fresk przedstawiający oblężenie Konstantynopola. Jest to najpełniejsze przedstawienie nie tylko na całej Bukowinie. Prezentuje wiele detali architektury obronnej miasta, rodzaj uzbrojenia, armaty, liczne wojska i stroje wojowników. Już tylko dla tej sceny warto tu przyjechać. Moldovita to dominująca, ale subtelna, spatynowana czerwień.

W monastyrze Humor dominuje róż indyjski. To niewielka cerkiew, bez zburzonych pomieszczeń klasztornych. Wyróżniającym się elementem architektonicznym jest stojąca w narożniku potężna i wysoka wieża. Pełniła w czasach pokoju rolę dzwonnicy, a w czasie oblężenia twierdzę bronioną przez mniszki.

Najpiękniejszy i najcenniejszy jest monastyr Voronet. Dominującym kolorem jest tu specyficzny błękit, nazwany przez historyków sztuki właśnie „błękitem voroneskim”. Ciekawe, że do dziś nie odgadniono sekretu jego składników; wiadomo, że są to barwniki naturalne i niezwykle trwałe. W bardzo wielu przypadkach bukowińskie klasztory prezentują swe niezniszczone freski od ponad pięciu wieków bez żadnej konserwacji. To tu znajduje się najwspanialsza scena Sądu Ostatecznego, umieszczona na całej szerokości „tylnej” ściany cerkwi. To dla niej trzeba tu przyjechać do Voronetu, tak jak dla sceny oblężenia Konstantynopola do Moldowicy.

WŁ

Foto Waldemar Ławecki





# Niespodzianka

Kasia Bartsch-Cielebon

Uwaga! Kochany Czytelniku, ten tekst jest z zupełnie innej beczki. Czytasz tylko na własną odpowiedzialność. Nie zalecane dla ludzi o słabszych nerwach lub o skaczącym ciśnieniu.

Każde miasto ma taką dzielnicę. Czasem kilka ulic. Czasem tylko jedną. Ale są. Na takich ulicach czas płynie inaczej. Życie wygląda odmiennie, a ludzie... A ludzie starają się przetrwać... albo stamtąd uciec. Jak się da. Na takich ulicach nocą nie świecą latarnie. A nawet jak świecą, to i tak zawsze jest za ciemno. Na takich ulicach czasem trwa zabawa. W kotka i myszkę. Był późny zimowy wieczór. Mróz zmieniał oddech biegnącego mężczyzny w białą parę.

Mężczyzna był już zmęczony. Na początku tylko pośpiesznie szedł. Potem zaczął biec. Miał wrażenie, że to wszystko to tylko zły sen. No bo to było niemożliwe. Najzwyczajniej, po ludzku, niemożliwe. Niemożliwe, żeby wszyscy, od których pożyczył pieniądze nagle zaczęli go ścigać. Niemożliwe. Najczęściej o sobie nie wiedzieli. Nie znali się. Był ostrożny. Zawsze był bardzo ostrożny. Dobrze wybierał swoich przyszłych wierzycieli. Obserwował. Poznawał. Poznawał powoli ich rodzinę, ich samych. Budował podstawy przyjaźni. Wreszcie stawał się zaufanym przyjacielem. Specem od interesów. Od zarabiania pieniędzy. Kilka dobrych inwestycji. Wierzyli



coraz bardziej. Pan Edmund był sprawdzony. Potem duża okazja. Pieniądze... Duuuuże. Potrzebne natychmiast. Bo inaczej okazja koło nosa przejdzie. I dostawał... No bo taka szansa nie zdarza się co dzień. Jeszcze mocny uścisk ręki. „Wierzę w ciebie Mundziu”. I nagle, no cóż... Bardzo mi przykro. Interes się nie powiódł. No naprawdę nie moja wina, nie, to nie ja... Kończył znajomość. Przecież nawet nikt nic nie wiedział. Mogli sobie tylko w brodę pluć za swoją naiwność. Skąd więc zebrała się ta cała grupa wierzących. No skąd? Gonili go. Zmieniali się. A on uciekał. Zaczęło się... gdy wyszedł od dentysty. Zobaczył tamtego we wnętrzu sklepu. Tego gościa oszukał pierwszego. Tamten jakoś tak się odwrócił. Dostrzegł go. Wyskoczył ze sklepu. Pan Edmund zawinął się mocniej w płaszcz i postawił kołnierz. Tak zimno. Usłyszał kroki za sobą. Przyspieszył. Kroki też przyspieszyły. Jego samochód

tkwił bezczynnie w garażu. Dentysta stwierdził, że za bardzo by ryzykował samodzielnie prowadząc. Taksówka. Nie miał czasu. Przystanek przy poradni gruźliczej. Rzut oka czy może nie nadjedzie tramwaj. Pusto. Ciemno. Nie miał pojęcia jak jeżdżą tramwaje. Przebiegł skrzyżowanie. I wtedy zobaczył drugiego. Wyszedł zza małego kościółka wciśniętego między starą zabudowę. Jego nogi samoczynnie zwiększyły tempo. W oczach tamtych pan Edmund nie wyczytał litości. Stare budownictwo. Stare bramy. Drewniane. Może pamiętające jeszcze pierwsze lata po wojnie. Coraz ciemniej. Dziwnie zakręcająca ulica. Komórki. Może tu? I pojawił się kolejny. Nie. Tu nie. Tu nie można. Szybciej. Dalej. Byle dalej od nich. Szkoła baletowa. Bloki. Duża ulica. Też zaskakująco ciemna. Kolejna twarz. I jeszcze jedna. Z dwóch przeciwnych stron. A może pobiec na policję. To tak niedaleko.



Spojrzał na budynek policji. Nie. Co im powie? Już to widzi. Ścigają mnie. Kto? Ci, których okradłem. Przeskakuje ulicę przed nadjeżdżającym samochodem. Kierowca wnerwiony trąbi na niego. Pan Edmund biegnie dalej. Byle do Galerii. Tam jest widno. Dużo ludzi. Ukryje się. Nie znajdą go. Tam będzie bezpiecznie. Jeszcze tylko ta jedna uliczka. Tylko ona. Potem światła. I już. Ta mała uliczka jest taka strasznie długa. Taka długa. Czy ona nigdy się nie skończy? Kolejny nadchodzi. Z naprzeciwka. Jakby czekał. Spojrzenie za plecy. Tamci nie ustają. Są jak wataha wilków. Gdzie teraz? Szpital połamańców. Brama. Otwarta. Biała para z ust. Podjazd do szpitala niewyobrażalnie długi. Odgłos kroków. Jakieś drzewa. Tam się można schować. Budynek między nimi. Co to jest? Może jakiś techniczny. Nieważne. Grunt, że otwarty. Drzwi ustępują pod naporem ramienia. Pan Edmund wsuwa się i zamyka je szybko. Może jakiś klucz od środka? Nie. Nic. Nie słyszy kroków. Cisza. Może

się naradzają? Może rozglądają się, gdzie zniknął. Stara się nie oddychać. Nasłuchuje. Ciągłe cisza. Gdzie ja jestem, myśli pan Edmund. Nigdy nie był w tym szpitalu. Co to za miejsce. Ciemno. Bardzo ciemno. Okno z lewej strony, ale na dworze też ciemno. Nie ma śniegu. Księżyc za chmurami. Cisza. Szuka nerwowo po kieszeniach. Miał zapalniczki. Na pewno miał. Są.

Wyciąga z kieszeni i pociera o trzaskę. Żółty płomyk oświetla niewielki krąg. Trumna. Nie, to jest niemożliwe. To na pewno tylko sen. Ten dentysta mnie uśpił jakimś specyfikiem – myśli. To tylko koszmar. Pan Edmund czuje ból w palcach trzymających zapalniczkę. Gasi ją machnięciem. Wychodzę stąd – podejmuje decyzję. Tylko nie umarlaki. Co to to nie. Koniec tego piekła. Więcej już nie da rady. Woli całą sforę tamtych. Odwraca się nerwowo i ciągnie za klamkę. Nagle na ramieniu czuje dotyk...

Kochany Czytelniku, a teraz taka mała przerwa. Chciałabym Cię prosić, abyś zrobił coś dla siebie.

Może kilka głębszych oddechów. Może filiżanka pysznej herbaty albo cokolwiek innego, co sprawi Ci przyjemność. Wskazane jest także kilka miłych słów do drugiej osoby, o ile jest w pobliżu. Już? Jesteś pewien? No to wracamy do naszej historyjki.

Pan Adam kończył właśnie wiązać krawat przed lustrem, kiedy zadzwonił telefon. Zachnął się. Już mu się udało przypomnieć sobie jak się to dziadostwo wiąże i znowu zapomni. Trudno. Odebrał połączenie. Pod wpływem słyszanych wiadomości brwi coraz bardziej łączyły się nad jego nosem.

– Jak to zidentyfikować ciało? Przecież dzisiaj pogrzeb. No tak, i tak miałem jechać do kostnicy. Zaraz będę – kończy. Zdumienie na jego twarzy jest już kompletne. Portfel. Kluczyki. Samochód. Zaskakująco puste ulice. Ale poranny szczyt już minął. Ponownie zaskoczenie na widok radiowozu przy kostnicy. Czuje coraz bardziej rosnące napięcie. Policjant legitymuje go. Prowadzi do środka niewielkiego

budynku między drzewami. Na dwóch niewysokich koziołkach stoi trumna. Tam powinien być jego ojciec. Na betonowej podłodze leży jakiś człowiek. Policjant pyta, czy rozpoznaje w nim kogoś znajomego. Pan Adam staje zaskoczony. Zna tego człowieka. Naprawdę go zna. To pan Edmund. Ten szacher-macher. Fachowiec od inwestycji. To dzięki niemu ojciec wykończył się na zawał. Pan Adam stoi tak z półotwartymi ze zdziwienia ustami. Ale numer. Kręci głową z niedowierzaniem. Ogłuszony omija policjanta i leżącego na ziemi człowieka. Podchodzi do trumny.

– Tata. Ty to widzisz? – pyta jakoś tak po prostu, jakby miał usłyszeć odpowiedź. Przygląda się rodzicielowi. Coś nie pasuje. Coś jest tu nie tak. Zachodzi w głowę o co chodzi. Nagle rozumie. Na twarzy ojca promienieje szeroki, radosny uśmiech.

– No nie. Ci od kosmetyki pośmiertnej chyba przesadzili – myśli z niesmakiem pan Adam.

**KBC**



# Wszyscy na przerwę



Piotr Mysłakowski

Szukając inspiracji chopinowskich pod hasłem „antrakt” początkowo uparcie krążyłem myślami wokół utartego znaczenia tego słowa, czyli przerwy między poszczególnymi częściami spektaklu, koncertu, przedstawienia. Antrakt jest nieodzowną ich częścią, jak cisza jest składnikiem dźwięku, pozwala za kulisami odpocząć artystom, pracownikom scenicznym przebudować dekorację, widzom zaś ochłoniąć, coś przekąsić i przede wszystkim „pouprawić” życie towarzyskie. W antrakcie panie błyszczały strojami, fryzurami i biżuterią, panowie zaglądali dyskretnie w dekolty cudzych żon i z miną fachowców wygłaszali opinie na temat przedstawienia. To był cały rytuał i okazja do zbiorowego prezentowania samego siebie. Obowiązywały pewne formy elegancji, do teatru ubierano się sztywnie (do opery szczególnie) – był to bowiem wyraz szacunku dla wysiłku artystów i ukłon wobec Sztuki. Dzisiejsze džinsy, adidasy i T-shirty na widowni teatralnej świadczą, że wysiłek żywego człowieka na scenie liczy się tyle samo, co mechaniczna projekcja obrazu filmowego. Dotyczy to oczywiście tradycyjnej formy koncertowania, w której żywy widz, jego wygląd, zachowanie i reakcje były nieodzownym elementem przedstawienia: artysta tak grał, jak wyczuwał widza! W dobie mechanicznych projekcji zjawisko takiego obustronnego sprzężenia nie występuje; co innego żywe koncerty muzyki pop, w których im większa ekscytacja tłumów, tym większy sukces artystów, prześcigających się w ekscentryczności efektów. Są to te same analogie psychologiczne, przeniesione w realia innej epoki.

W czasach Chopina nie unikano poklasku tłumu fanów: znakomitym przykładem scenicznego showmana był Franz Liszt czy Nicolò Paganini. Artyści bowiem świadomie stosowali pewne wizualne chwytły czy efekty, by wywołać wśród słuchaczy-widzów histeryczne wręcz reakcje, których nie osiąga się słuchając np. nagrań tej samej muzyki z płyt. Na przeciwnym biegunie byli tacy artyści jak Chopin, który dążył do nawiązania intymnej więzi z nielicznym gronem słuchaczy uważając, że ich reakcje współtworzą utwór muzyczny. Pomimo odmiennej skali, mechanizm przecież był podobny: artysta daje od siebie tyle, na ile oddaje mu publiczność.

Wracając od tematu „antrakt”: gdy spektakl niósł w sobie siłę, wywołującą ekscytację publiczności, przenosiła się ona na czas antraktu – można sobie wyobrazić „achy” i „ochy”, wachlujące się damy, panów spierających się o walory słyszanych utworów (albo częściej o ich wykonawczynię – to był osobny temat wymiany poglądów).

Tak, antrakty to była instytucja życia towarzyskiego.

Antrakt jest francuski „entr’acte” czyli „pomiędzy aktami”. Po włosku intermezzo, po niemiecku Zwischenspiel. Czyli „przerwa”. A przerwa – to nowe skojarzenie: czyż nie kojarzy się z tym, co wszyscy uczniowie lubią najbardziej? Przerwa – czy to nie nerwowe oczekiwanie na upragniony dzwonek, ogłaszający koniec 45-minutowej katorgi lekcyjnej? Ulga, że oto nauczyciel już nie zdąży mnie wywołać do tablicy... Kwadrans na przekąskę, grę w piłkę czy choćby zwykłe poturbowanie nieznośnego kolegi... No i ostatnia chwila na ściągnięcie od kolegi niezrobionego zadania domowego, bądź nerwowy przegląd zasobów w opustoszałej nagle głowie w obliczu nadchodzącej po przerwie klasówki?

Przerwa szkolna zapewne tak samo była oczekiwana w czasach licealnych Chopina. Różnica leżała w rygorach zachowania. Nie do pomyslenia było telefonowanie w czasie lekcji, wkładanie kosza na głowę nauczycielowi, jedzenie w ławkach czy ubiór z przekłutym pępkiem na wierzchu. Licealiści nosili obowiązkowe mundurki i czapki z daszkiem, określone przepisami. Po szkolnym dziedzińcu chodzili szkolni inspektorzy, czujnie obserwując czy zachowanie podopiecznych licuje z godnością instytucji edukacyjnej, jaką było Liceum. Mundurki musiały być czyste i eleganckie, nie było więc zbyt wiele możliwości „porozrabiania” – nawet tego niewinnego, jakże potrzebnego dla kondycji fizycznej. Aby nie było nieporozumień: nauczyciele także nosili mundury! Byli przecież funkcjonariuszami państwowymi i byli zaklasyfikowani do jednej kategorii urzędniczej: stanowili klasę siódmą, podczas gdy studenci ósmą a uczniowie – dziewiątą. Na szczycie tej hierarchii stał minister, a każda z kategorii miała określone przepisami obowiązkowe dystynkcje, których elementem był krój, kolor i dekoracje munduru. Taki strój (a także panujące reguły i system kar), wymuszały zachowanie eleganckie i powściągliwe, stanowiąc element wychowania późniejszego obywatela, respektującego zasady współżycia społecznego, poszanowania godności, mienia itp.



Zasady takie przetrwały do czasów młodości piszącego te słowa. Jeszcze w latach 60. XX wieku w męskich liceach (żeńskie też istniały, spoko!) obowiązywały mundurki szkolne, czyli określonego koloru garnitury, składające się z granatowej marynarki i spodni, białej lub niebieskiej koszuli i krawata. Na lewym rękawie musiała być naszyta „tarcza” czyli haftowany emblemat z numerem i nazwą szkoły. Nie sprzyjało to wagarowiczom, ani doroślejącym kolegom, którzy starali się nielegalnie bywać w klubach studenckich, bądź chodzić na filmy dozwolone „od 18 lat”. Ileż inwencji wkładano w sposoby dyskretnego zdejmowania tych tarcz! Metody „na szpilki”, „na rzepy” „na zatrzaski” były tępiące przez nadgorliwych pedagogów, którzy kontrolnie targali za rękawy uczniowskie, sprawdzając czy tarcza jest solidnie przyszyta...

Za czasów Chopina pod tym względem było znacznie gorzej. Dla przykładu dość powiedzieć, że przepisy wymagały, by pensjonariuszki szkół żeńskich, wychodząc do parku na przerwę, szły gęsiego, jedynie wzrokiem mogąc „komunikować się” z idącą po przeciwnej stronie alejki „kolumną” uczniów szkół męskich. A mimo to, jak opisuje w pamiętnikach hrabia Fryderyk Skarbek (chrzestny Chopina), nawet takie ulotne kontakty wzrokowe czasem kończyły się na ślubnym kobiercu! Przerwy w zajęciach szkolnych służyły głównie dla zorganizowanej rekreacji fizycznej, w myśl zasady „w zdrowym ciele zdrowy duch”. A jednak udawało się niektórym znaleźć sposób, by na przykład spotkać się na ławeczce przyszkolnego ogrodu, tzw. „Botanice”, z jakąś miłą sercu koleżanką. Piszą o tym pamiętnikarze z czasów młodości Fryderyka. Dziwi tylko, skąd się tam brały owe dziewczęce adresatki uczuć, skoro Liceum było szkołą wyłącznie męską, a „przyzwoite dziewczęta” mieszkaly na pensjach pod czujnym okiem guwernantek?

Może z powyższych refleksji przebija żal autora za utraconym porządkiem. Może, jak każdy przedstawiciel starszego pokolenia uważa, że kiedy był młody, wszystko było lepsze. Może lansuje nieznośne stare ramoty. Owszem, może. Ale w czasach Chopina licealista kończył szkołę, mając wpojone przekonanie o nadrzędnych wartościach obywatelskich, o umiłowaniu Ojczyzny, a zapytany nie twierdził, że istniało państwo „Niemczechy” (bo „tata był w Niemczech na robotach...”).

Koniec przerwy... Wracajmy do codziennej harówki.

PM

---

# W MIĘDZYAKCIE

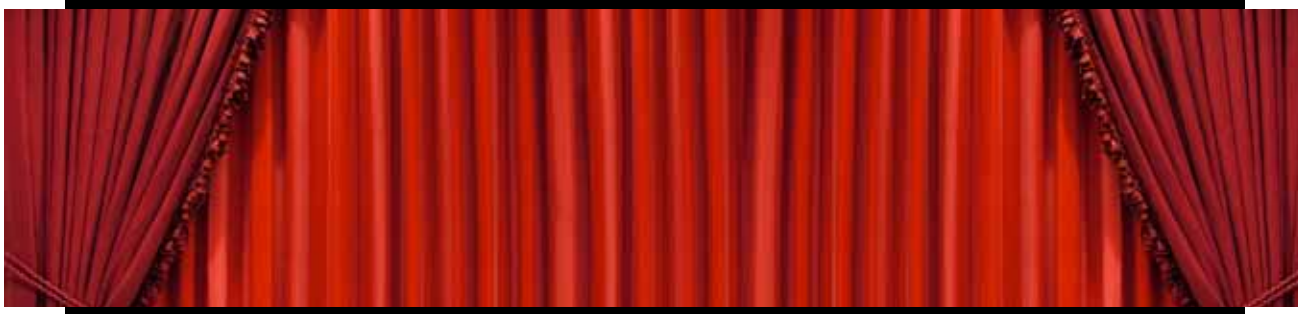
Monika Mikołajek

---



Dziś w międzyczasie o międzyakcie. Międzyakt to archaizm, polski pionier, który przygotował grunt języka na przybycie francuskiego zapożyczenia - antraktu. Choć znaczą to samo, wydaje mi się jednak, że wiekowy prekursor nieco przystępniej oddaje ich wspólny sens. Bo przecież istotą tych słów jest jedynie przerwa w sztuce, beczyn w trwaniu, coś co trwale oddziela wszystkie sceniczne przed i po. Słowo to towarzyszyło mi przez ostatnie tygodnie, jako cichy kompan myśli i tylko przypadek sprawił, że w tym właśnie

czasie dane mi było zobaczyć film Imagine Andrzeja Jakimowskiego. Film prosty i cichy, wyczekujący. W fabule historia pewnych ludzi, których los uczynił niewidomymi. Na tym szczeblu opisu przystanę, dla tego tekstu to wystarczy, gdyż nie o samą opowieść chodzi, lecz właśnie o bycie niewidomym. Seans filmowy nie rządzi się prawami sztuki teatralnej, przez co nikt nie wyprosi widzów na dosłowny antrakt. Więc, jak jeśli nie przypadkiem właśnie nazwać faktu, że to kino, nie teatr pozwoliło mi ująć antrakt w zupełnie nowe ramy znaczenia.



Ton narracji tej historii wpisał mi, bowiem to słowo trwale w życia bohaterów filmu, którymi są ludzie niewidomi. Brak wzroku to antrakt jednego ze zmysłów i tak jak w teatrze, gdy międzyakt wymuszając pewien zastój i oczekiwanie wzmacnia siłę, z jaką oddziałuje na nas drugi akt, tak przerwa w percepcji spowodowana utratą wzroku powoduje większą wrażliwość pozostałych zmysłów, na wciąż zmienny obraz tego, co dookoła. Siłą tych ludzi jest jednak ukierunkowanie własnych zmysłów tak, iż mimo antraktu sztuka postrzegania trwa dla nich nadal. Trwa wyraziście i zupełnie inaczej niż dla wszystkich, również tych, którzy chcąc udowodnić, że się mylą, próbują teraz zamknąć oczy, by stwierdzić w pełni wiary, iż słyszą i czują wyśmienie. Niestety, dla nas po zamknięciu powiek zawsze rozpoczyna się antrakt. Zmysł wzroku jest pośród reszty zmysłów tym, który na przestrzeni wieków zdobył miano dominującego, pozostawiając - chcąc nie chcąc - resztę w warstwie poddańczej. Zamykając oczy, stajemy się bezbronni i niepewni. Mówi o tym zagubiony dźwięk, trudny do rozpoznania, choć znajomy zapach, faktura pod palcami, której ciepło i chropowatość ukrywają informacje o dotykanym przedmiocie. Z tych mikro zdarzeń powstaje markotny szum, z którego nijak wydobyć spójny obraz

otoczenia. Dlatego też uznanie należy się wszystkim tym, których wytrwałość potrafiła przywrócić blask zaśniedziałym zmysłom. Wracając na sam koniec do filmu *Imagine*, pewien rozdźwięk zmuszający do namysłu pojawia się przy okazji wrzucenia go do odpowiedniego worka z kategorią. Na polskich stronach opatrzony został podwójną etykietą - dramat i komedia. Dokładnie w tej kolejności. Przywodzi to na myśl zabawną analizę dziennikarza Mariusza Szczygła, czechofila, który postanowił sprawdzić tezę jakoby kategoryzowanie wszystkich filmów, jako dramatów było naszą cechą narodową. Teoria została potwierdzona. Filmy, które my uznajemy za dobitnie ściskające za serce, nasi sąsiedzi zza miedzy uważają za niezwykle zabawne. W tym szczególnym przypadku, jakim jest *Imagine* skłonna jednak jestem oddać palmę pierwszeństwa w pochodzie słuszności Polakom. Film ten jest wyjątkiem, zbyt cichym by dorosnąć do miana jakiegokolwiek kategorii. Umieszczenie go więc, w obu jednocześnie, pozwala na pewne konieczne tu niedookreślenie. Dla mnie jest on także zwyczajnie tym, o czym opowiada. Jest antraktem gatunku. Jest naturalnym oddechem wśród krzyków komediantów i prawdomówców polskiego kina.

MM



# CO ROBI TANCERZ W PRZERWIE...

Agnieszka Kaczorowska

## ...pomiędzy zawodami a zawodami?

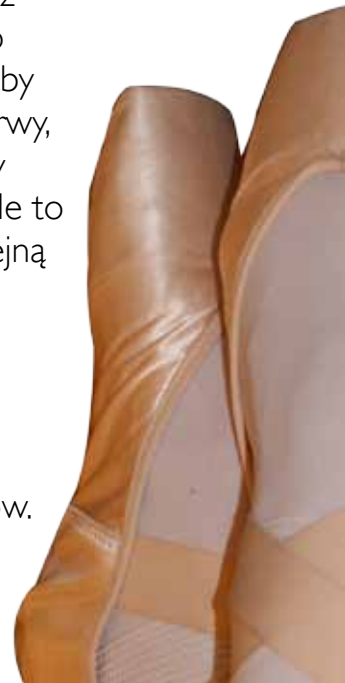
Gdy trenujemy do jakichś zawodów, przygotowujemy się do konkretnego turnieju, to kosztuje oczywiście wiele wysiłku, wyrzeczeń i często braku siły. Po konkretnym wydarzeniu zawsze odchodzi cała adrenalina, emocje i energia. Odpoczynek jest niezbędny. Koniecznie, jeden lub dwa dni, a czasem nawet tydzień, jeśli to były ważne zawody i poprzednie kilka miesięcy tancerz zdierał buty bez przerwy, musimy przeznaczyć na zupełny relaks, aby się zregenerować. Potem zabieramy się za przygotowania do kolejnego turnieju i tak w kółko.

## ...pomiędzy rundą a rundą na turnieju?

Zdejmujemy buty, zakładamy ciepłe kapcie. Wciągamy dres lub okrywamy się szlafrokiem, aby nasze mięśnie ciągle pozostały rozgrzane. Czasem zmieniamy stroje. Czekamy na wyniki. Bywa, że w wielkim stresie, ale często na luzie, to już zależy od naszego poziomu i rangi turnieju. Jeśli przerwa jest trochę dłuższa, to można przekąsić banana, trochę ryżu albo suchego ugotowanego makaronu, aby dalej czuć się lekko, ale mieć dużo siły. Najgorsze są jednak bardzo długie przerwy, a takie też się zdarzają. Czasem potrafią trwać kilka godzin i czujemy się wtedy bardzo senni, zdarza się, że się nawet zdrzemniemy gdzieś na ławce w szatni, ale to niestety pociąga za sobą kolejną długą rozgrzewkę i pobudzenie się przed kolejną rundą. Czekanie jest najgorsze, lepiej działać, tańczyć, walczyć o zwycięstwo!

## ...pomiędzy tańcem a tańcem?

Na początku dla wyjaśnienia dodam, iż runda zazwyczaj składa się z 5 tańców latynoamerykańskich bądź standardowych, chyba że jest to kategoria 10 tańców.



W eliminacjach jest wiele par, więc jesteśmy podzieleni na wiele grup, co oznacza, że przerwy między tańcami są dłuższe, co akurat jest bardzo dobre. Każdy taniec ma inny charakter, potrzeba innego rodzaju energii do jego prezentacji, więc jak mamy te kilka minut do przestawienia się, zebrania ostatnich uwag od trenera, to wychodzimy z powrotem na parkiet w idealnej formie i klimacie danego tańca. Dla przykładu - z romantycznej historii miłosnej rumbi, nastawiamy się do walki w paso doble, po czym uruchamiamy tryb fantastycznej zabawy jive'em. Z czasem jednak, gdy jesteśmy już doświadczonymi tancerzami, na te zmiany nastrojów nie potrzeba nam więcej niż kilka sekund, a bardziej pragniemy napić się łyżeczka wody lub dostać jakąś wskazówkę od trenera, co w finale, gdy z parkietu się między tańcami nie schodzi, jest niemożliwe. Wtedy możemy liczyć tylko na siebie.

### ...pomiędzy krokiem a krokiem?

Najczęstsze pytanie do tancerza - o czym myślisz, gdy tańczysz? Bardzo trudno na to odpowiedzieć. Jeśli przed tańcem otrzymaliśmy jakąś konkretną uwagę, np. „trzymaj ramiona w dole” lub „broda do góry” albo „masz szybciej stawiać stopy na parkiecie, bo wydajesz się ciężki”, to w każdym kroku, myślimy dokładnie o tym, aby zrealizować co trener przykazał. Każdy tancerz choreografii ma w małym palcu, wytrenowane do każdego szczegółu, inaczej nie powinien jechać na turniej, dlatego nikt nie skupia się na krokach. Czasem myśli się o tym, jakiego rodzaju utwór nam puścili i w jaki sposób mogą zatańczyć teraz sambę, aby współgrała z muzyką. Wszyscy się dziwią, ale my nie mamy pojęcia, jaką muzykę nam zagrają. Musimy zatańczyć po prostu dany taniec i może to trudne do wyobrażenia, ale wszystko można zaprezentować na wiele różnych sposobów.

### ...pomiędzy dźwiękiem a dźwiękiem?

Nie ma przerwy. To musi płynąć. Nic nie powinno być pocięte. Oczywiście, niesamowicie ważne są akcenty, zatrzymania, ale to tylko to, co widzicie. W środku energia cały czas buzuje i jeśli nawet ktoś stanął, to właśnie zaczął kolejny ruch. Wszystko wynika z czegoś i poprzedza coś kolejnego. Nie ma przystanku. Wtedy jest to interesujące, często niespodziewane i wzbudza ciekawość. W tancerzach natomiast jest ogrom emocji i każda wzmaga kolejną, dzięki czemu publiczność może zobaczyć piękne przedstawienie oparte na dźwiękach.

foto Ryszard Żuchowski





foto Ryszard Żuchowski





DZIECKO MOŻE NAUCZYĆ  
DOROSŁYCH TRZECZ RZECZY:  
CIESZYĆ SIĘ BEZ POWODU, BYĆ  
CIĄGLE CZYMŚ ZAJĘTYM I DOMAGAĆ  
SIĘ - ZE WSZYSTKICH SIŁ - TEGO,  
CZEGO PRAGNIE.  
PAULO COELHO



foto Ryszard Żuchowski



foto Ryszard Żuchowski

MĄDROŚĆ LUDZI JEST  
SZALEŃSTWEM W OCZACH  
BOGA. JEŚLI POŚLUCHAMY GŁOSU  
DZIECKA, KTÓRE MIESZKA W NASZEJ  
DUSZY, OCZY NASZE ZNOWU  
NABIORĄ BLASKU.  
PAULO COELHO

foto Ryszard Żuchowski











## Ryszard Żuchowski / CinemaPhoto.pl

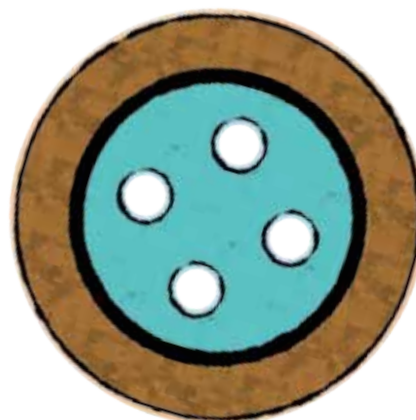
Fotografuję od dziecka. Pierwsze zdjęcia robiłem aparatem taty na wakacjach. Na zdjęciach widnieją do dziś rodzice, siostra i znajomi, nierzadko z obciętymi do połowy głowami. Takie to były początki. Jako nastolatek dokumentowałem obozowe życie aparatem Zenith. Potem odbitki wywołane w szkolnej ciemni przypinałem szpileczkami do harcerskiej tablicy w szkole. Fotograficzną edukację rozpocząłem od sekcji fotografii w Młodzieżowym Domu Kultury, gdzie fantastyczna pedagog pani Anna Wegner tchnęła we mnie fotograficznego ducha. Do dziś jestem jej głęboko wdzięczny. Wtedy rozpoczęła się moja przygoda z obrazem. Parę lat później skończyłem Realizację Obrazu Filmowego i Fotografię w szkole filmowej w Katowicach. Miejscem mojej pracy po studiach stały się plany filmowe, a narzędziem była kamera. Do fotografii wróciłem gdy na świat przyszedł mój pierwszy syn. Uwieczniałem każdą chwilę jego dzieciństwa, wszystko chciałem zatrzymać w kadrze. Dziś dokumentuję wiele momentów z życia czwórki moich dzieciaków. Od dwóch lat na warsztatach fotograficznych uczę fotografować innych.



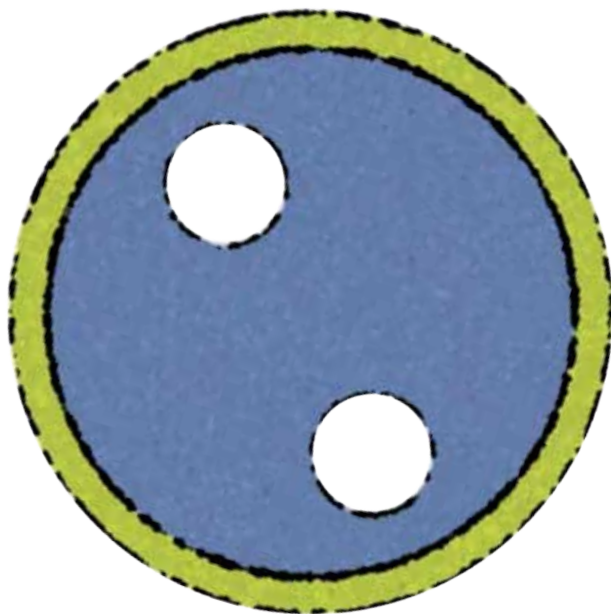


# Bawmy się modą

Klaudia Ofiara



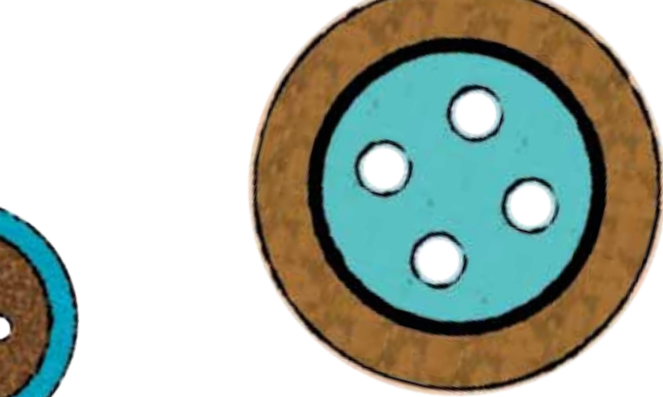
**M**oda coraz szybciej obiega świat. Możemy ją odnaleźć niemal w każdej dziedzinie, od garderoby, kosmetyków, gadżetów czy stylu życia. Na każdym kroku spotykamy się z informacjami o promowanych trendach i nowościach w świecie mody. Jednak czy właśnie to jest jej esencją? Czy rewolucjoniści modowi XX wieku tego oczekiwali, kiedy tworzyli swoje projekty? Pora przyrzeć się, jak rozwijała się moda w pierwszej połowie XX wieku i jak wpłynęła na obecne czasy. Rewolucja modowa w XX wieku dotyczyła zrzucenia przez kobiety ciężkich zdobnych sukien i opinającego gorsetu. Miała być symbolem wyzwolenia się z jarzma patriarchy. Pierwszą projektantką, która wprowadziła wyraźne zmiany i jest uważana za prekursorkę nowego stylu jest Coco Chanel. To ona zaprojektowała małą czarną sukienkę, czyli najbardziej ponadczasowy strój, który możemy zestawić z każdym dodatkiem i założyć na każdą okazję. Długie suknie na halkach zastąpiła sukienką do połowy łydki o obniżonej linii tali. Wywołała tym samym



rewolucję obyczajową, gdyż do tej pory kobieta nie mogła odsłaniać ciała w ten sposób. Stroje Chanel od początku szokowały. Propagowała także noszenie spodni i koszul, a także stworzyła pierwszy strój plażowy, który składał się z białych spodni do połowy łydki i luźnej tuniki przewiązanej ozdobną wstążką. Pokazując się w ten sposób na plaży, Coco wywoływała początkowo oburzenie, jednak kobiety pragnęły takiego wyzwolenia. Przełom lat 20. i 30. to okres kiedy sufrażystki walczyły o prawa do głosowania dla kobiet i kiedy pierwsza fala feminizmu mocno zaznaczyła swoją obecność. Kobiety pragnęły większej swobody dla siebie, nie chciały być dłużej uznawane za płęć słabszą, pragnęły równouprawnienia.

Coco od zawsze inspirował strój męski, na początku swojej kariery przerabiała męskie stroje tak aby sama mogła je nosić. Zaprojektowała także sukienkę szmizjerkę, która była zainspirowana męską koszulą. Jednym z najbardziej znanych jej projektów był także dwuczęściowy kostium, składający się ze spódnicy za kolano oraz żakietu bez kołnierza. Kroje te do tej pory są powielane przez różne modowe koncerny. Poza samymi elementami garderoby, Chanel uwielbiała dodatki. Swoją karierę zaczynała od projektowania kapeluszy z mocnymi zdobieniami, jednak najbardziej znanym dodatkiem zaprojektowanym przez Coco, była torebka nr 255. Słynna czarna pikowana mała torebka na złotym pasku jest detalem ponadczasowym. Chanel promowała także nowy styl codzienny. Składał się ona z jerseyowej miękkiej sukienki, blezera bądź dłuższego swetra oraz sznura pereł, który był jedyną ozdobą.

Chanel tworzyła w trudnych czasach, zaczynała w dwudziestoleciu międzywojennym, a na czas drugiej wojny światowej w ogóle zaprzestała projektowania. Jednak jej dom mody i styl przez nią wytworzony przetrwały i trwają do dzisiaj. Modę przez nią stworzoną kochały ówczesne gwiazdy kina: Pola Negri, Greta Garbo czy Marlena Dietrich. Gwiazdy kina, podobnie jak obecnie, promowały nowe trendy



i stawały się inspiracją dla kobiet, które pragnęły wyzwolenia. Nosiły koszule, proste sukienki, perły czy pierwsze kobiece garnitury. Zmiany w modzie zaszły także we fryzurach i makijażu. Chanel przywróciła na usta czerwień, a gwiazdy kina promowały ją wraz z wyrażeniem podkreślonymi oczami. Szczególna zmiana zaszła także w noszonych fryzurach.

Modne stały się krótkie włosy zaczesane do tyłu oraz tzw. „hollywoodzka” fala, która charakteryzowała się mocnym lokiem po jednej stronie wzdłuż czoła.

Poza Coco Chanel w latach 20. tworzyła także inna słynna projektantka, czyli Elsa Schiaparelli. Francuska, która propagowała modę mocno awangardową, a popychał ją ku temu jej wieloletni przyjaciel Salvador Dali. Jej projekty uważane są za awangardowe do dzisiaj. Jedne z najbardziej znanych to kapelusz w kształcie buta oraz buty z wystającymi ze środka włosami.

Szokowały a jednocześnie budziły zachwyt.

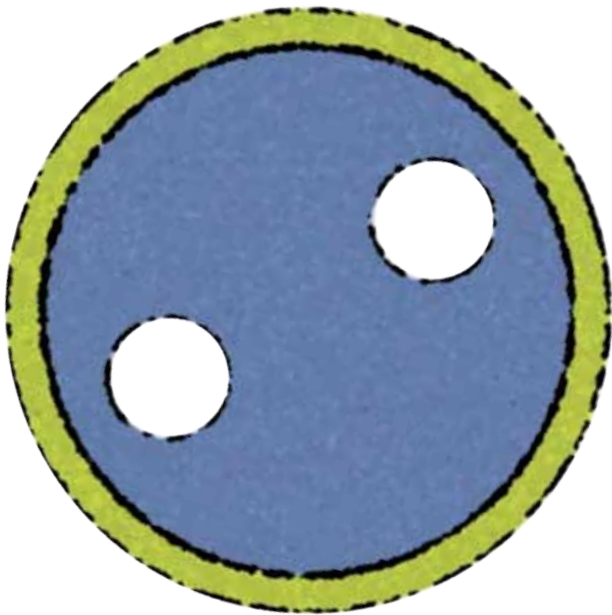
W tym okresie zaczął tworzyć także Jean Patou, który zaprojektował kobiecy strój sportowy, czyli ubiór zarezerwowany do tej pory tylko i wyłącznie dla mężczyzny.

W swoich projektach wykorzystywał miękkie tkaniny i proste fasony, które dawały kobiecie swobodę ruchów, dzięki czemu mogła swobodnie uprawiać sporty takie jak tenis czy golf.

Wśród różnego rodzaju strojów, pojawił się także projektant, który zaczął tworzyć damskie obuwie czyli Salvatore Ferragamo. Zaprojektował on całą linię różnego rodzaju pantofli i sandałów dla kobiet o lekkiej linii i wyprofilowanym kształcie.

W latach 30. pojawiła się także Nina Ricci, czyli projektantka, której najbardziej znane i cenione projekty to suknie wieczorowe. Długie, lejące się wykonane z jedwabiu, które opinały sylwetkę, a dodatki z brylantów i pereł były jej znakiem rozpoznawczym.

Lata 40. mimo wojny przyniosły wielkie zainteresowanie kinem, produkcje takie jak Gilda z rudowłosą piękną Ritą Heyworth czy Casablanca z Ingrid Bergman, weszły na stałe do kanonu kina. Aktorki lat 40. nieco inaczej podchodziły do mody,





niż dwie dekady wcześniej. Ponownie, szczególnie po wojnie, chciano podkreślać i uwidaczniać swój styl i kobiecość. Scena z film Gilda, w którym główna bohaterka zdejmując długie rękawiczki, stała się symbolem obrazu seksualnego. Wojna sprawiła, że kobieta walczyła i pracowała, doprowadziło to do dominacji stylu miejskiego składającego się z prostych materiałów i wygodnych fasonów. Nadanie praw kobietom wyswobodziło je po raz kolejny i sprawiło, że mogły poprzez modę wyrażać siebie.

W tych czasach powstał także słynny nurt pin-up girls, czyli przedstawianie na plakatach bądź kartach zdjęć kobiet skąpo ubranych. Jego przedstawicielką była chociażby Marilyn Monroe, która w ten sposób zaczynała swoją karierę. Kobiety na zdjęciach wyróżniał także intensywny makijaż, czarna wyciągnięta kreska i czerwone usta.

Wśród projektantów modowych rodziły się gwiazdy, które w latach 50. osiągnęły szczyt karier. Lucian Lelon stworzył wielki dom mody, w którym zatrudniał najznamienitszych projektantów u progu swoich karier. Pracowali dla niego Christian Dior, Pierre Balmain czy Hubert de Givenchy.

W latach 40. powstawały także jedne z pierwszych koncernów kosmetycznych. Karierę rozpoczęła Estee Lauder, która na bazie rodzinnych receptur zaczęła tworzyć kosmetyki pielęgnacyjne, makijaż i zapachy, a wizażysta Max Factor otworzył firmę, w której powstał pierwszy podkład używany w filmach kolorowych, by wygładzić skórę aktorek.

Pierwsza połowa XX wieku udowadnia, że poprzez modę możemy wyrażać siebie, swój styl, swoje prawa. Jednak to co należy podkreślić brzmi: moda nie daje przymusu, daje wolność wyboru. To co nosimy, co wybieramy jest i powinno być podyktowane naszym własnym wyborem. Stroje i elementy garderoby oddają nasz wizerunek, dają o nas pierwsze wrażenie. Jednak pamiętajmy, że nie każdy zawsze wybierze to co dla niego najlepsze zdaniem innych, a nasz styl zmienia się i ewoluuje. Tym powinna być moda, własnym wyborem. Obecnie w świecie spotykamy się z wielkim uprzemysłowieniem. Koncerny sieciowe wprowadzają co sezon nowe kolekcje, które są inspirowane wyraźnie stylem projektantów z wybiegów. Jeśli jednak lubimy coś co nie jest aktualnie promowane, nie ograniczajmy się. Najważniejsze jest zawsze to, żeby być sobą, a moda ma być naszym dopełnieniem i wyrażeniem się na zewnątrz. Ma nas uwalniać, a nie zamykać w jakiegokolwiek ramy. Bawmy się modą i korzystajmy z tego, że możemy to robić.

KO

# Zadbaj o siebie

Karolina Dyja



Czyba już się kiedyś do tego przyznawałam, ale powtórzę: „słowo przewodnie” artykułu czasem staje się dla mnie nie lada wyzwaniem. Jak tu pogodzić moje chęci podejmowania „życiowych” tematów z takim słowem jak chociażby „antrakt”?

W pewnej chwili doznałam olśnienia. Analizując opowiadania pewnego bułgarskiego pisarza doszłam do mało odkrywczego wniosku, że życie jest trudne. Bywa też męczące. A zatem – odpoczywać trzeba. Proste, prawda?

Zmęczenie – odpoczynek – antrakt. Moja bardzo kobieca logika na początku wydawała się dość pokrętna, ale czego się nie robi dla potrzeb pracy twórczej/dziennikarskiej.

W rezultacie, po raz pierwszy od dłuższego czasu, zaczęłam myśleć o drobnostkach.

Z pozoru nieistotne, ale... właśnie.

Bardzo podoba mi się jedno chorwackie powiedzenie – „Male stvari život znače”. Mówi



ono, że właśnie takie małe, nieistotne rzeczy, tworzą nasze życie. Mogą być antraktem. Niestety. W życiu często brakuje miejsca na anakt, odpoczynek. Biegamy, pracujemy, nie wysypiamy się – mogłabym tak wymieniać długo. Zaraz, zaraz... kiedy ja ostatnio czytałam książkę dla przyjemności?

Stąd moje postanowienie na wakacje – zadbać o siebie. Wysypianie się jak należy, celebrowanie posiłków i porannej kawy, czytanie interesujących książek, oglądanie ciekawych filmów, praca twórcza. A wszystko bez pośpiechu i na spokojnie.

Warto czasem się po prostu zatrzymać. Nieważne, czy zrobimy sobie urlop dwudniowy, tygodniowy czy miesięczny. Trzeba umieć odpoczywać. Robić to, co lubimy i nie odkładać tego w nieskończoność na bliżej nieokreślone „później”.

Hmm... Może jednak wybiorę się do tego teatru?

KD



# WIEDŹMA

Katarzyna Bartsch-Cielebon  
powieść w odcinkach  
cz. XIX

**K**iedy Marianna zobaczyła jak Odina po raz kolejny wyrzuca zawartość żołądka na trawę, nie wytrzymała. Był ciepły, wczesnojesienny wieczór.

– Dziecko, moje drogie – zaczęła – boli cię coś?

Odina pokręciła przecząco głową.

– Właściwie co zjesz to zaraz z ciebie wylatuje. Już widzę, że jesteś osłabiona. Leżysz tylko i popłakujesz.

Dziewczyna spojrzała na nią uważnie. Marianna zorientowała się, że weszła na ten właściwy grunt.

– Coś cię gnębi. Czuję to!

Odina ponownie pokręciła głową, ale nie wypadło to już przekonywująco.

– Co ci jest? Słońce moje...

Córka spojrzała jej w oczy i zaraz spuściła wzrok.

– Powiedz. Zrozumiem – jakiś cień zastanowienia przemknął po twarzy

Odiny. Chwila czasu do namysłu.

– Mamo – cicho, z zastanowieniem – mam – trochę pewniej – ja... ja... ja wiem, że powinnam cię posłuchać wtedy. Że nie powinnam iść wtedy na zamek, ani w ogóle – zamilkła – ja wiem.

Marianna siedziała nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Wiem. Tyle się zdarzyło. Ja wiem – znowu milczenie – pan Thomas...

– Tak – po raz pierwszy odezwała się Marianna.

– Ja wiem, że to wtedy... że to był on – zamilkła – ja już wiem. Nawet nie mogłam nic zrobić. Nic. Ale ty – popatrzyła na nią z niemą prośbą.

Marianna zeszytniała. Pozbierała się jednak momentalnie.

– Odina. Ja też już wiem. Przyjdzie czas pana Thomasa. Dopiero przyjdzie. Niedługo – patrzyła na nią





dzisiaj nie  
czytam

ostro – ja martwię się o ciebie. Co jest z tobą?

– Ty wiesz? Wiedziałaś? – córka była zaskoczona.

Marianna poczuła się w obowiązku powiedzieć jej kilka słów o swoim spotkaniu z Thomasem. Oczy dziewczyny zwiększały się ze zdziwienia – i nic nie zrobiłaś? – popatrzyła z wyrzutem.

– Powiedziałam ci, że przyjdzie czas.

– Skąd wiesz?

– Bo taka jest kolej rzeczy – powiedziała spokojnie – a teraz powiedz mi kiedy ostatnio...

– Jestem w ciąży – wyrzuciła z siebie gwałtownie Odina i nagle poczuła, że się uspokoiła – jestem w ciąży.

Marianna uśmiechnęła się – Wolałam, żebyś ty to powiedziała.

– I co, nie masz do mnie żalu? Nie gniewasz się? – dziewczyna

była zaskoczona – nie powiesz, że zmarnowałam sobie życie?

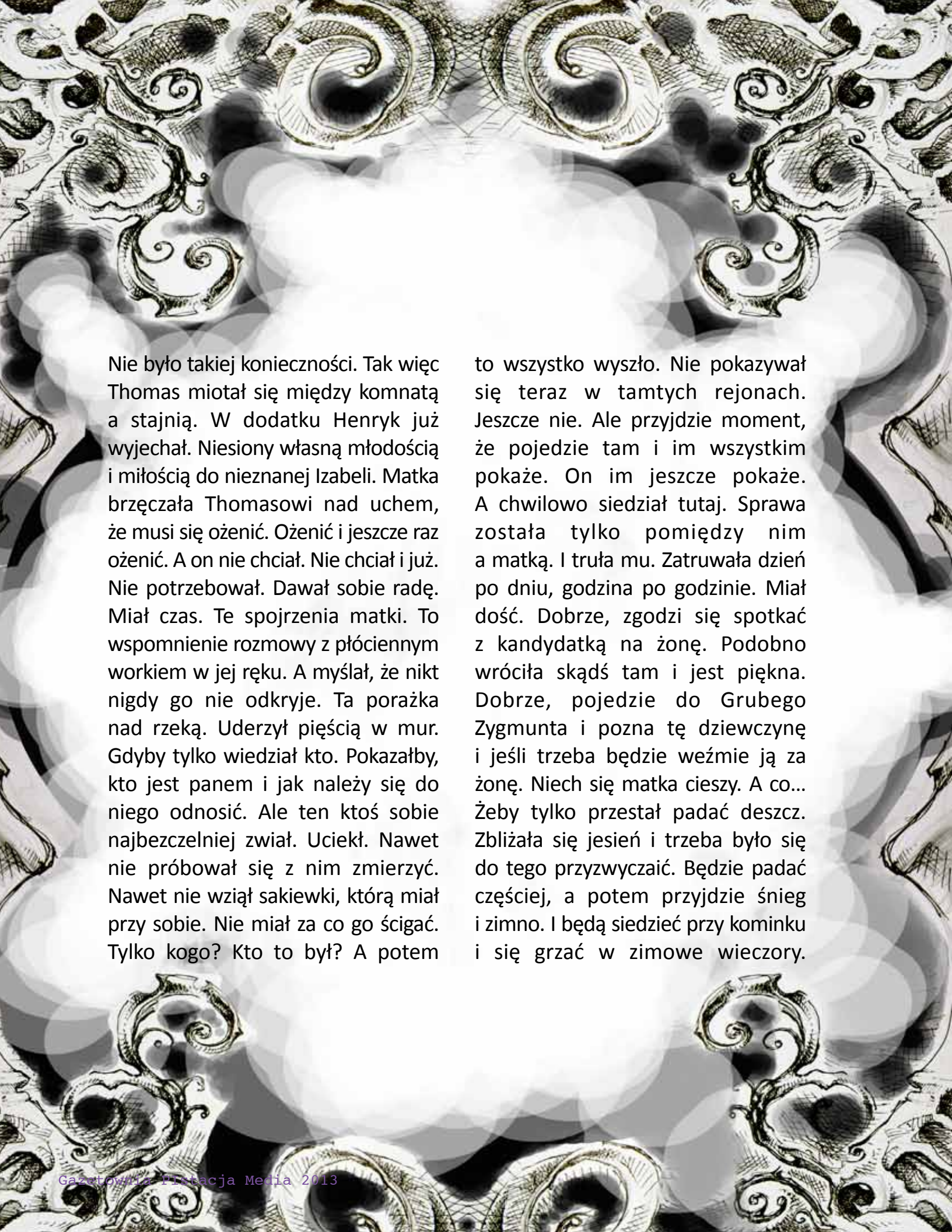
– Kiedyś też sobie zmarnowałam życie – uśmiechnęła się Marianna – byłam zakochana – uśmiechnęła się z niedowierzaniem – do szaleństwa – pokręciła głową – i wiesz, gdyby nie to zmarnowanie życia, to by nie było ciebie i najpiękniejszych lat mojego życia.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

To nie był dobry dzień. Zaczęło padać jeszcze w nocy i ziemia rozmiękła od wody. Thomas z udręką pomyślał o konieczności spędzenia dnia na terenie zamku. Mógł co prawda wyjechać, ale szkoda było mu konia. Bał się go przeziębici, czy spowodować, że w zalanej wodą dziurze rumak skręci lub złamie nogę.





Nie było takiej konieczności. Tak więc Thomas miotał się między komnatą a stajnią. W dodatku Henryk już wyjechał. Niesiony własną młodością i miłością do nieznanej Izabeli. Matka brzęczała Thomasowi nad uchem, że musi się ożenić. Ożenić i jeszcze raz ożenić. A on nie chciał. Nie chciał i już. Nie potrzebował. Dawał sobie radę. Miał czas. Te spojrzenia matki. To wspomnienie rozmowy z płóciennym workiem w jej ręku. A myślał, że nikt nigdy go nie odkryje. Ta porażka nad rzeką. Uderzył pięścią w mur. Gdyby tylko wiedział kto. Pokazałby, kto jest panem i jak należy się do niego odnosić. Ale ten ktoś sobie najbezzwzględniej zwiął. Uciekł. Nawet nie próbował się z nim zmierzyć. Nawet nie wziął sakiewki, którą miał przy sobie. Nie miał za co go ścigać. Tylko kogo? Kto to był? A potem

to wszystko wyszło. Nie pokazywał się teraz w tamtych rejonach. Jeszcze nie. Ale przyjdzie moment, że pojedzie tam i im wszystkim pokaże. On im jeszcze pokaże. A chwilowo siedział tutaj. Sprawa została tylko pomiędzy nim a matką. I truła mu. Zatrzuwała dzień po dniu, godzina po godzinie. Miał dość. Dobrze, zgodzi się spotkać z kandydatką na żonę. Podobno wróciła skądś tam i jest piękna. Dobrze, pojedzie do Grubego Zygmunta i pozna tę dziewczynę i jeśli trzeba będzie weźmie ją za żonę. Niech się matka cieszy. A co... Żeby tylko przestał padać deszcz. Zbliżała się jesień i trzeba było się do tego przyzwyczaić. Będzie padać częściej, a potem przyjdzie śnieg i zimno. I będą siedzieć przy kominku i się grzać w zimowe wieczory.





Lubił jesień i zimę, ale w tym roku wydały się mu przerażającą wizją. Dobrze, że chociaż mały Ulryk zaczął stawiać swoje pierwsze nieporadne kroki, prowadzony za rączkę po rozłożonych na ziemi kocach. Za nic by nie pozwolił, aby jego synkowi stała się jakaś krzywda. Jak będzie większy, mocniejszy, to wtedy sam go nauczy znosić trudy i władać mieczem, ale jeszcze nie teraz. Był zbyt słodki i zbyt... przypominał matkę. Thomas złapał się za głowę. Ile to już? Ponad rok. Co się dzieje? Co ona mu zrobiła, że nie może o niej zapomnieć? Tak nieraz by chciał nie pamiętać jej śmiechu i pocałunków. Nie widzieć oczami pamięci jej sylwetki kryjącej się dla zabawy za drzewem, aby mógł ją tam dogonić i złapać, i całować. Uderzył czołem o ścianę. Zapomnieć. Zapomnieć.

Z sąsiedniej sali dobiegł go dziewczęcy śmiech. To dwórki zaśmiewały się z jakiejś historyjki, którą opowiedziała jedna z nich. Było ich teraz mniej, część powychodziła za mąż. Emilia, Odeta i Ernesta założyły już swoje rodziny. Odeszła Odina. Zacisnął wargi, aż zbiełały. Dobrze, że odeszła. Jej obecność stała by się nieznośna. Henryk był tylko zły przez jakiś czas. Może i to przyspieszyło jego wyjazd. Ale dobrze, że odeszła. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Kto wie? Usiadł ciężko i oparł łokcie o kolana. Splótł ręce. Musiał poradzić sobie sam z tym wszystkim. I poradzi sobie. Podniósł się nagle, tak samo szybko jak usiadł. Wybiegł z komnaty i udał się do stajni. To tutaj jego drużyna siedziała i zabawiała się grą w kości. Dosiadł się do towarzystwa witany pomrukami zadowolenia. Jeżeli wygra, to ożeni się





z tamtą od Grubego Zygmunta. Niech  
zadecyduje los.

I los zadecydował...

Dni upływały. Robiły się coraz krótsze  
i bardziej zimne. Liście już opadły,  
a drobne rośliny zamarły w swojej  
wegetacji. Las szykował się do  
zimowego snu. Na pustych polach  
hulał wiatr. W zamku czyniono  
niezbędne przygotowania do  
nadciągającej zimy. Uszczelniano  
okna i rąbano drwa. Został  
nawet przeczyszczony komin, aby  
przypadkiem się nie zatkał w mroźne  
dni i nie zadymił domowników. Pani  
krzątała się spiesznie, uśmiechając  
się do siebie od czasu do czasu z  
zadowoleniem. W przygotowaniach  
pomagała jej młoda żona Thomasa.  
Delikatna i drobna, może nie  
najsilniejsza, ale w końcu jednak

kobieta. Żona! Ożenił się, przymuszony  
jej groźbami. A może po prostu  
zmądrzał? Tak czy inaczej Ursula od  
miesiąca mieszkała z nimi. Według  
pani spełniała się najlepiej jak mogła,  
lecz pani nie chwaliła jej, zważając na  
swoją ważną pozycję teściowej. Kiedy  
mogła zaś wypominała jej drobne  
niedociągnięcia czy uchybienia.  
Dziewczyna przyjmowała je  
posłusznie, kiwając głową. Nie miała  
zresztą większego wyjścia. Musiała  
przecież, po jej, to jest pani śmierci  
przejąć cały zamek pod swój nadzór.  
Przyjechała tu z dwoma swoimi  
dwórkami, które towarzyszyły jej przy  
wszystkich pracach. Tak więc pewnie  
nie czuła się taka osamotniona. Ale  
cóż, taka jest rola kobiety. Może  
więc i ten smutek wreszcie zniknie.  
Przyzwyczai się, oswoi, przywyknie.

**KBC**

21.05.2007

Sandomierz

Janina Kędziołka-Filip

### ***Czy fontanna w nocy śpi?***

Bezustannie, nieprzerwanie  
kropla, kroplę pośpiesza  
aby zdążyć zabłysnąć

Wzbijają swe loty ku górze  
a każda o tęczy marzy  
czy to za prędką tęsknota  
każe im wracać

A może to łzy niespokojne  
co spływają w dół

Ale po kim?

Po czym?

Za czym?

Co robi w nocy?

gdy nie wzbija się, nie opada  
czy śpi?

czy z tęsknoty usycha





# Długa pauza

Anna Ciemniecka

Cisza między dźwiękami. Spacja pomiędzy wyrazami. Chwila między uderzeniem kolejnych kropli deszczu o szybę. Między pytaniem a odpowiedzią. Między niezamierzonym zgaśnięciem żarówki a nowym dopływem prądu. Między rozbłyskiem na niebie a grzmotem nieopodal. Przystanek w drodze. Minuty między dzwonkiem kończącym lekcję a tym wzywającym na następną. Przerwa pomiędzy wysiłkami, odpoczynek w pracy. Czas pomiędzy „dobranoc” a „dzień dobry”. Moment między wdechem a wydechem. Między uderzeniami serca. Przestrzeń między myślami. Zatrzymanie, by znów ruszyć. Ta przerwa nie jest końcem. Jest „czasem pomiędzy”. Czasem bardzo ważnym, potrzebnym, często niezbędnym, chociażby po to, by coś znów potoczyło się dalej, by mogło brzmieć, by mogło istnieć. Jest przystopowaniem, ale nie stopem.

Wyludnione ulice, z rzadka przejeżdżający po zwykle zatłoczonej jezdni samochód, wiele wolnych miejsc w zazwyczaj przepełnionych autobusach. Puste przystanki. „Nieczynne z powodu wyjazdu...” bielejące nad nieruchomymi klamkami. Zamknięte drzwi urzędów i wszelkich instytucji. Wolny Czas, wolniejszy niż zwykle - wyczekiwany, upragniony przez tak wielu. Zawieszenie wszelkich spraw na „potem”. Po długim weekendzie.

Nagła słabość i ciemność przed oczami, a potem... nic. Osunięcie się na chodnik, w otchłań. Przerwa w dostawie krwi do mózgu, tlenu do płuc. Spacja w przekazywaniu impulsów. Antrakt na trakcie nerwów. Zbyt długa pauza pomiędzy uderzeniami serca. Przerwy, które mogą stać się zakończeniem, po których może nie być kontynuacji. Zamiast ponownego zapadnięcia w fotele po trzecim dzwonku może być bezpowrotnie spuszczone kurtyna. Potrzeba szybkiego działania, przerywania tej pauzy, tego nie można odłożyć „na później”. Może jednak zdarzyć się tak: Pan I. poczuł dziwne wirowanie w głowie i nagłą obezwładniającą słabość. Cała dookolność w dodatku najpierw się rozdzieliła, a potem rozmazała. Zdał też sobie, co prawda niejasno, sprawę, że widzi ją tylko jednym okiem. Po chwili wszystko wróciło do normy, wszystko w polu widzenia, ale słabość pozostała. W najbliższym czasie sytuacja ta powtarzała się wielokrotnie, narastała jej siła i niepokój pana I. oraz jego żony. Pan I. trafił do szpitala z nadzieją na szybkie znalezienie przyczyny tego zdarzenia i zaradzenie sytuacji. Na bezpieczeństwo. Na piękny maj i swoje kolejne w nim urodziny. Pech chciał, że stało się to w czasie długiego weekendu i nie działały żadne najważniejsze urządzenia diagnostyczne, od wyniku pracy których

zależało podjęcie decyzji o przeciwdziałaniu stanowi pana I. Rezonans miał przerwę, gdyż obsługujący go pracownicy wyjechali na długi weekend. Wszyscy. Przerwę w pracy miała też przytłaczająca większość lekarzy, a jeden dyżurujący nie wystarczał wielu potrzebujących szybkiej pomocy po uprzednim dokładnym rozpoznaniu źródła ich kłopotów. Zresztą nie można było dokonać większości diagnoz bez poddania pacjentów badaniom wykonywanym za pomocą nieczynnych w te dni maszyn - wyroczni... Pan I. spędził więc w szpitalu I I dni z wciąż rosnącym lękiem o to, czy nadal powtarzające się epizody z traceniem wzroku i sił nie zakończą się nagle utratą sprawności albo ... życia. Czekał na wskrzeszenie działania najważniejszego w jego przypadku urządzenia diagnostycznego, a razem z nim czekała cała jego rodzina. W czasie tego niezwykle długiego weekendu okazało się w dodatku, że z powodu nieuwagi lekarza oraz braku ciągłości przepływu informacji nie otrzymał leków mających zabezpieczyć jego życie, zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się podejrzanego zdarzenia, wystąpieniu silniejszego. Powinien dostać je bezzwłocznie, a dostał po kilku dniach. Pomogły. Przez kilka dni jednak mogło wydarzyć się wszystko, działo się to, co nie powinno i nie musiało już dalej. Nie można było jednak tego wiedzieć z całą pewnością, gdyż nie mogło nastąpić tak konieczne zajrzenie w głąb ciała pana I. Po I I dniach nareszcie skończyła się przerwa weekendowa, co poskutkowało wykonaniem tak istotnego badania, potwierdzeniem podejrzeń oraz teorii względności (w kontekście stosunku do

długich weekendów). Gdy przerwa w prawidłowym działaniu organizmu nakłada się w czasie z długowweekendowym pauzowaniem, może się to źle skończyć dla człowieka nagle stającego się pacjentem. Może się skończyć nieodwołalnie. Pan I. miał szczęście, jego sytuacja nie była aż tak poważna, chociaż zaowocowała skutkami, które najprawdopodobniej nie pojawiłyby się, gdyby nie przerwa w pracy szpitalnych urządzeń i diagnostów. I gdyby nie brak podania stosownych leków wtedy, gdy były konieczne. Ile osób jednak doświadcza gwałtownego uderzenia serca, po którym nie następuje żadne kolejne? Ile osób po przerwaniu dostawy tlenu nie zaczerpuje go ponownie, gdy zatrzymują się impulsy biegnące po ścieżkach nerwów, nie rusza już do dalszego biegu? Zwłoka w udzieleniu natychmiastowej pomocy oznacza koniec życia, może też tak zakończyć się odwiekanie właściwego działania. Antrakt zamienia się w finał. Wakacje, urlopy, czas świąteczny, długie weekendy są niewątpliwie przyjemnymi, oczekiwanymi wydarzeniami. Pojawia się jednak pytanie, jak zadbać o to, by te radosne przerwy w codziennym społecznym funkcjonowaniu nie stały się tak bardzo ogólne i totalne, by nie stwarzały niebezpieczeństwa, że czyjeś funkcjonowanie nie zakończy się ostatecznie. O to, by nie groziły tym, że czyjeś zdrowie i życie zostanie wtórnie zagrożone z powodu niemożności udzielenia pomocy. Ważne, by pauza nie stała się stopem.

AC



# Antrakt

Paweł Radźko

Pusty pokój o ścianach intensywnie zielonych. Na środku prosty, drewniany stół. Na stole budzik. Budzik tyka głośno, słysząc go w całym pokoju. Tykanie to jest równe, miarowe. Tyk. Tyk. Tyk. Do pokoju wchodzi mężczyzna w garniturze. Staje przy stole, nachyla się, coś dłubie i mąci w budziku. Wyprostowuje się, a budzik tyka nieco szybciej. Tyk-tyk-tyk. Mężczyzna wychodzi. Zaczyna iść. Idzie powoli, spaceruje. Jednak cały czas równomiernie przyspiesza. Spacer przechodzi w chód, chód w trucht, trucht w bieg, bieg w sprint. Już się męczy, już nie może, więc przesiada się na konia. W szybkim galopie jadą długo, ale koń w końcu też już nie może, piana leci mu z chrap i dyszy głośno. Więc mężczyzna przesiada się do pociągu. Magnetyczny mknie jak błyskawica. Wszystko za oknem rozmazuje się. Ale mężczyzna zmienia pojazd na auto, żeby było wygodniej. I pędzi jak na zabój. Coraz szybciej i szybciej. Po jakimś czasie zaświeca się kontrolka. W baku kończy się paliwo. Wpada więc na pomysł. Podskakuje. Leci teraz samolotem. Frunie prędzej niż jakikolwiek ptak. Osiąga niesamowitą prędkość. Srebrny aeroplan przecina chmury oraz walczy z wiatrami.

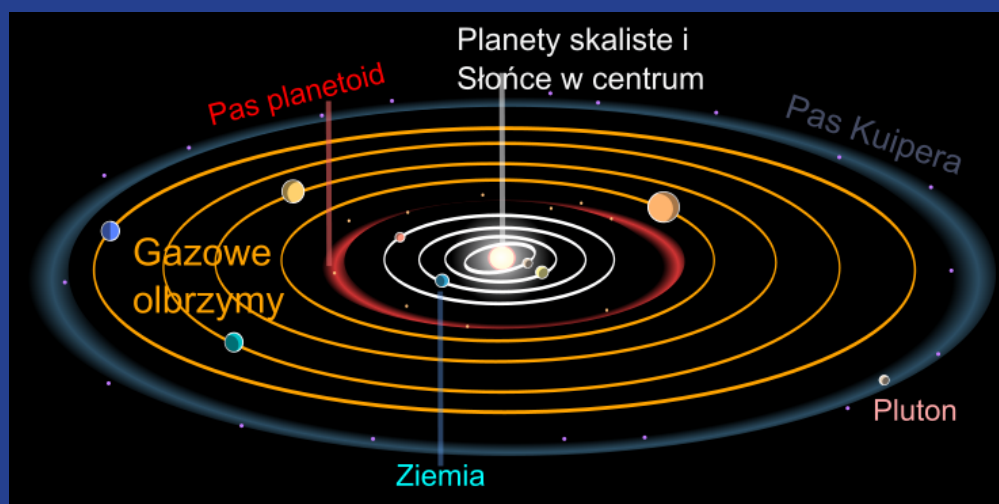
Wszystko jest piękne dopóki nie pojawia się szary dym, mętny smog, który otula swymi objęciami cały świat. Budzik tyka coraz szybciej. Tyktyktyktyktyk. Ewentualnie zadzwoni, ale jest już za późno. Ściany pokoju są koloru brunatno-ziemistego.

PR



# Budowa Wszechświata

Michał Lewandowski



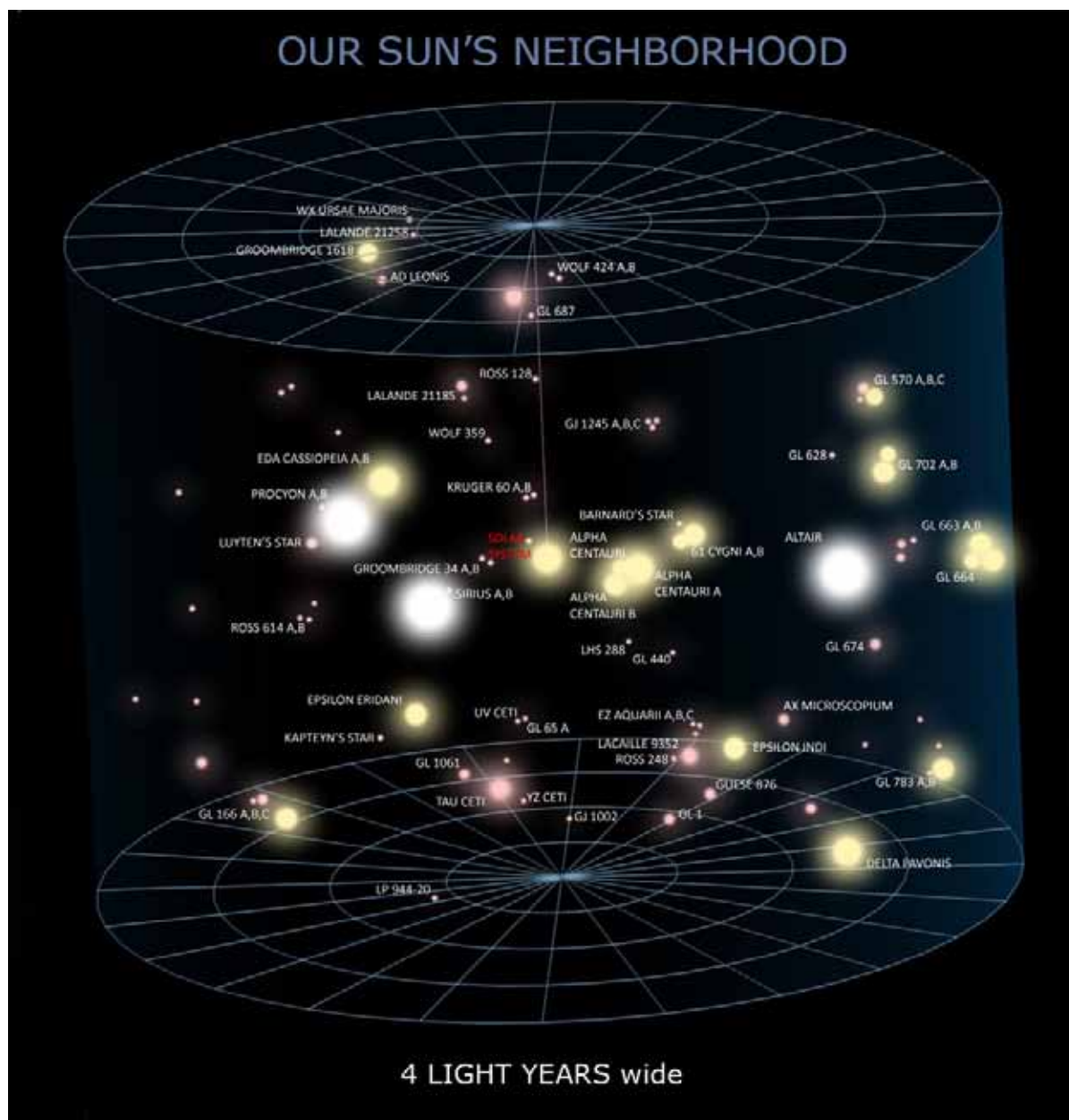
**Rysunek 1.** Przedstawienie Układu Słonecznego z zaznaczonymi pasami planetoid i Kuipera. Odległości orbit nie są w skali.

**Wiemy,** że żyjemy na planecie Ziemia, a ta planeta krąży wokół gwiazdy Słońce, która znajduje się w galaktyce Droga Mleczna. Ale co poza tym? Jak zbudowany jest nasz wszechświat i gdzie się w nim znajdujemy?

**Zacznijmy** od początku naszego układu planetarnego. Nasz układ składa się z gwiazdy centralnej czyli Słońca oraz ośmiu krążących wokół niej planet; kiedyś było dziewięć, ale Pluton został zdegradowany do tak zwanej planety karłowatej. Pierwsze cztery planety to planety skaliste, takie jak Ziemia. Pomiędzy czwartą i piątą planetą,

czyli Marsem i Jowiszem mamy duży pas planetoid. Głównie składający się z obiektów skalnych o średnicach poniżej 400 km. Jednak jeden z obiektów, Ceres, jest tak zwaną planetą karłowatą. Dalej, następne cztery planety to są gazowe giganty, za którymi rozciąga się następny obszar planetoid, Pas Kuipera. Tu też krążą planety karłowate z najbardziej znaną z nich, Plutonem, na czele.

**Najbliższa** nas gwiazda, Proxima Centauri, znajduje się w odległości 4,22 lata świetlnego od Słońca. Ale co jest pomiędzy nami a innymi gwiazdami oraz



**Rysunek 2.** Okolice naszego Układu Słonecznego



innymi układami planetarnymi? Znajdują się tam niezwiązane z żadnym z układów zagęszczenia pyłów i obłoki materii, czasem również jakieś mniejsze lub większe obiekty. Średnio jest tam kilka tysięcy atomów na centymetr sześcienny. Tak samo jest pomiędzy innymi układami.

**Gdy** zbierzemy razem bardzo dużą ilość takich gwiazd i układów, tak pomiędzy dziesięcioma milionami a bilionem, oraz wszystkie co pomiędzy nimi, to możemy stworzyć dużo większą strukturę we wszechświecie, czyli galaktykę. Gwiazdy i planety będą wtedy krążyć dookoła wspólnego środka masy, tak zwanego jądra galaktyki. Nasza Droga Mleczna nie jest jedyną galaktyką we wszechświecie, a jedynie jedną z niezliczonej ilości większych i mniejszych galaktyk. Najbliższa nam galaktyka, poza oczywiście Drogą Mleczną, jest to galaktyka Andromedy, oddalona od nas o około 2,52 miliona lat świetlnych. Można ją zaobserwować przy dobrej pogodzie nawet przez lornetkę. Pomędzy galaktykami mamy swego rodzaju przerwę. Próżnię praktycznie idealną. Gęstość materii w przestrzeni międzygalaktycznej wynosi poniżej jednego atomu na metr sześcienny, czyli naprawdę bardzo mało.

Galaktyki podobnie jak gwiazdy tworzą skupiska, zwane grupą galaktyk, gdy jest ich stosunkowo mało, czyli tak do 50, lub gromady, gdy zbiera się ich już więcej. One również tak jak gwiazdy krążą wokół

wspólnego środka masy, z tym że nie jest on widoczny tak jak w przypadku jądra galaktyki. Odległości pomiędzy galaktykami są też oczywiście dużo większe niż w przypadku gwiazd.

**Jeszcze** większą strukturą są tak zwane supergromady galaktyk. Zbudowane, są one nie tylko z pojedynczych odizolowanych galaktyk, ale też z grup i gromad galaktyk. Istnienie takich struktur jest dowodem na to, że wszechświat nie jest zbudowany jednorodnie, co oznacza, że galaktyki są rozłożone nierównomiernie. Obserwacyjnie nie ma dowodów na istnienie większych struktur, jednak przewiduje się, że mogą istnieć tak zwane „włókna” zbudowane z gromad i supergromad, które oddzielają przestrzenie wypełnione materią od obszarów całkowitej pustki.

**Podsumowując,** Ziemia krąży wokół Słońca, które jest jedną z miliardów gwiazd krążących w naszej galaktyce, która z kolei jest jedną z kilkadziesiąt galaktyk w tak zwanej grupie Lokalnej, która to grupa jest częścią ogromnej supergromady Lokalnej. Jak widać wszechświat jest olbrzymią budowlą, w której Ziemia jest jedynie mikroskopijnie małą cegiełką.

ML



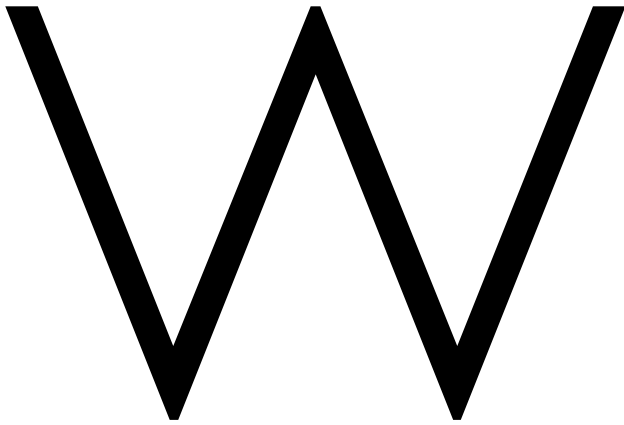
**Rysunek 3.** Gromada galaktyk Abell s704. Zdjęcie wykonane Kosmicznym Teleskopem Hublla, NASA.

# Moje Muzeum

Robert Borzęcki







moim muzeum jest kilka „perełek”, które dzięki swoim niezwykłym właściwościom wyraźnie wyróżniają się wśród pozostałych minerałów i skał. Jest wśród nich między innymi grupa kamieni, które mają zdolność świecenia własnym światłem pod wpływem ultrafioletu. Zjawisko to zostało po raz pierwszy wykryte we fluorycie i stąd zwie się je teraz fluorescencją. Co ciekawe przeważająca większość fluorytów w ogóle nie świeci. Wyjątkowo trafiają się takie, które w ultrafiolecie emitują własne światło. U mnie w muzeum jest tylko jeden taki okaz. W świetle dziennym ma niezbyt efektowną barwę zielonawo-szarą, w ultrafiolecie natomiast emituje przepiękne błękitne światło.

Bardzo ładnie świecą również niektóre wtórne minerały uranu (tzw. miki uranowe). Mają one najczęściej niesamowitą, intensywnie żółtozieloną barwę. Niestety, są dość silnie promieniotwórcze. Przechowywanie takich okazów w domu byłoby zatem bardzo niebezpieczne. Ich tajemnicze światło najlepiej więc

podziwiać w naszym muzeum, gdzie znajdują się one w odpowiednio zabezpieczonej gablocie.

Barwa fluorescencyjna może być również prostym wskaźnikiem służącym do rozpoznawania niektórych minerałów. W ten sposób da się na przykład rozróżnić brylant (oszlifowany diament) od syntetycznej cyrkonii, która jest jego imitacją. Większość naturalnych diamentów w ogóle nie fluoryzuje. Wyjątkowo trafiają się takie, które pod wpływem ultrafioletu świecą na niebiesko. Charakterystyczną cechą wszystkich cyrkonii jest natomiast ładna żółta fluorescencja.

Niektóre minerały fluoryzujące wykazują również bardzo efektowną fosforescencję, to znaczy świecą jeszcze przez jakiś czas nawet po przerwaniu naświetlania lampą ultrafioletową. Takie właściwości ma na przykład nasz gips z Dobrzynia.

Na zakończenie chciałbym jeszcze opisać jeden bardzo szczególny okaz znajdujący się w zbiorach mojego muzeum. Jest to naturalny kryształ aleksandrytu z Uralu w Rosji. Okaz ten w oświetleniu sztucznym ma barwę zieloną, natomiast już w świetle dziennym przepięknie fluoryzuje fioletowo-czerwono. Wynika to stąd, że światło słoneczne także zawiera domieszkę ultrafioletu. Jest ona niewielka, ale na tyle duża, że wystarcza, aby pobudzić kamień do świecenia. Pamiętajcie Państwo o tym, gdy w lecie będziecie opalać się na plaży.

RB



*Muzyka w wielkim metrze czyli*  
***Pochwała***  
***Nieoczekiwanego***

Dorota Kotowicz

Jeśli ogórek nie śpiewa,  
i to o żadnej porze,  
to widać z woli nieba  
prawdopodobnie nie może. (...)

Lecz jeśli pragnie? Gorąco!  
Jak dotąd nikt. Jak skowronek.  
Jeśli w słoju nocą  
łzy przelewa zielone? (...)

*Dlaczego ogórek nie śpiewa? K.I.Gałczyński*  
(Z niedokończonej całości pt. *Miłosierdzie*)

*Muzyka, muzyka tkliwa dynamika...  
angelologia i dal.*

Ach, Ildefons, ach, Konstanty, ach,  
Gałczyński... sparafrazowany do potrzeb  
sytuacji. Metro około siódmej wieczorem.  
Szaro. Szare miny, szare krawaty, ścisk. Ktoś  
zawisł z gazetą na poręczy umieszczonej  
nad głowami siedzących, osowiałych  
pasażerów. Ktoś inny czyta książkę, pewnie  
rozumiejąc co drugie zdanie z powodu  
natłoku myśli związanych z zakończoną  
właśnie pracą i zbliżającymi się, z szybkością  
metra obowiązkami domowymi... Ktoś inny  
jeszcze zapadł w niespokojny sen. Metro,  
limbo mieszczuchów. Nagle, na jednej ze  
stacji pakuje się do pociągu człowiek ze  
skrzypcami. Człowiek jest starszy, skrzypce  
też już nie pierwszej młodości:  
z jasnożółtego pudła rezonansowego obłazi  
płatami lakier, struny też jakby nie wszystkie,  
część poskręcana w kędziorki. Człowiek jest  
niestarannie ubrany, jakby wymięty. Staje  
nieopodal drzwi i zaczyna grać.  
I nagle cud. Ze zmęczonego instrumentu  
zaczyna łać się wcale niezmęczona muzyka.  
Na pierwszy ogień idą klasycy na czele

z Vivaldim i Czterema Porami Roku, po nich  
następują szlagiery muzyki klezmerskiej,  
melodie cygańskie. Ludzie podnoszą głowy  
i początkowa irytacja ustępuje miejsca  
najpierw rozbawieniu, a potem uczuciu  
autentycznej przyjemności. To nic, że  
zarówno skrzypce jak i kapota skrzypka  
pamiętają lepsze czasy: wciąż czuje się jego  
kunszt, pomimo oporu i niesforności lichych  
skrzypiec. Po paru minutach gry skrzypek  
przechodzi między pasażerami, aby zebrać  
drobne monety. Gdy zjawia się obok mnie  
mówi nieśmiało: „To ja tu rzępoliłem na tych  
skrzypkach...” Zebrawszy datki, odchodzi.  
Wysiada, pewnie po to, by za chwilę  
wsiaść do następnego pociągu... Jednakże  
na swej drodze ofiarował nam maleńkie  
przypomnienie o tym, że sztuka jest sztuką  
niezależnie od otoczenia, i że czasem jest  
wyrazistsza i lepiej spełnia swoją funkcję  
poza salą koncertową czy muzeum,  
w przestrzeni Nieoczekiwanego.  
Nie wiem jaka była historia skrzypka,  
myślę, że mogła być smutna, zważywszy  
na kontrast między artyzmem wykonania  
utworów i jakością instrumentu; artyzm  
wykonania nie przystający jakby do miejsca



i czasu tego zaimprovizowanego koncertu. Chociaż...

W 2007 roku dziennikarze gazety „The Washington Post” pokusili się o mały eksperyment: poprosili światowej sławy wirtuoza o nazwisku Joshua Bell, okrzykniętego bogiem skrzypiec, by ten zagrał w nowojorskim metrze w porannych godzinach szczytu. Jeszcze na dwa dni przed tym niecodziennym wydarzeniem, sale koncertowe w których występował pękały w szwach, a najmniej korzystne miejsca na jego koncerty były sprzedawane za astronomiczne sumy. Założenie eksperymentu było proste: sprawdzić, czy ludzie w nieoczekiwanym otoczeniu, bez kunsztownej oprawy będą w stanie rozpoznać prawdziwe piękno i poddać się mu. Pikanterii całemu przedsięwzięciu dodawał fakt, iż Instrumentem grającym w nim pierwsze skrzypce był autentyczny Stradivarius. Wyniki eksperymentu były łatwe do przewidzenia: odarta z otoczki blichtru pluszowych foteli i kryształowych świeczników muzyka przemówiła tylko do nielicznych, tych, którzy przystanęwszy na ułamek sekundy podjęli ryzyko wyjścia z góry utartego schematu działania, mechanicznego rytmu codzienności, ofiarowując sobie przerwę-antrakt w Rzeczywistości, bez a priori czy kontekstu, z samej ludzkiej instynktownej potrzeby piękna i w przeczuciu jakiejś doskonałości.

Inni pochłonięci swymi telefonami komórkowymi, planami na przyszłość lub listami rzeczy do zrobienia na dziś czy jutro nie zauważyli muzyka, na którego koncertach być może nawet i bywali, ale

którego kunszt nie objawił się dla nich w tym niecodziennym dla niego miejscu. Takie niecodzienne-codziennie spotkania z przekraczającym granice codzienności pięknem nie są rzadkością i stanowią dla mnie istotę roli sztuki. Tak trochę po Norwidowsku, zachęcającej do zmartwychwstania. Do dziś pamiętam przypadkowy koncert w pewnym paryskim kościele, gdy ubrany w wyciągnięty sweter pianista głęboko mnie poruszył właśnie poprzez bezpretensjonalność swego wystąpienia. I nie chodzi tu bynajmniej o kult bylejakości. Gdy sztuka wchodzi w codzienność, to codzienność staje się sztuką w tym sensie, że odarta z wartości naddanych treść artystyczna przemawia bezpośrednio w swej prostocie z pominięciem wartości pozornych - prestiżu i koterii, tego co obejrzyć należy czy wypada, o czym warto lub nie warto mówić później „na salonach”. Jest kwestią osobistego, głębokiego przeżycia. Najwdzięczniejsza jest publiczność na teatralnej jaskółce. Przekucie sztuki w codzienność przemawia do samej istoty człowieka i zmienia jego rzeczywistość również tak, że człowiek niejednokrotnie rzuca się, aby samemu tworzyć sztukę na miarę swych zdolności i potrzeb. I nie chodzi tu o inwestowanie w instrumenty czy kosztowne lekcje gry, a już raczej uniknięcie sytuacji świeżo upieczonych narciarzy, zaczynających niejednokrotnie naukę jazdy od zakupu drogiego sprzętu. Pomyślmy o grotach Lasceaux. Czasem wystarczy papier, ołówek, odwaga tworzenia i wstawienie do kąta naszego wewnętrznego krytyka, by zapewnić sobie zawieszenie w czasie, antrakt, po którym możemy wrócić

do codzienności z innym na nią spojrzeniem. Gdyż oddawanie się działalności artystycznej zmienia nas samych. Gdy rysujemy, zaczynamy wyraźniej widzieć barwy i kształty, gdy gramy, zaczynamy prawdziwie doceniać artyzm profesjonalnych muzyków. Nie jest też prawdą, że nie mamy czasu... Alan Rushbridger, redaktor naczelny brytyjskiego dziennika „The Guardian” w swej książce *Play it again!* (Zagraj to jeszcze raz!) pisze jak w roku kryzysu medialnego Wikileaks, gdy ilość jego obowiązków przekraczała najśmielsze oczekiwania opanował i publicznie wykonał w gronie przyjaciół pierwszą balladę Chopina. Pomimo wielu podróży miał czas, by zasiąść przy pianinie w lobby hotelowych i ukraść ze swego codziennego napiętego harmonogramu 15 minut na spotkanie ze sobą poprzez sztukę. I nic to, że wygrany przez niego wariant utworu był o 3 i pół minuty dłuższy od zawartości partytury. Ważny był sam fakt oderwania się na chwilę od nic nie znaczących deklaracji czy kłamstw, plastikowego,

fałszywego świata. Gdyż tworzenie sztuki jest sposobem na utrzymanie higieny psychicznej. Oczywiście, można by powiedzieć, że łatwo jest pokusić się o artystyczną kreację, gdy jest się w uprzywilejowanej pozycji i nie trzeba walczyć o zaspokojenie podstawowych ludzkich potrzeb. Nie wydaje mi się to jednak do końca prawdą: wystarczy pomyśleć o moim skrzypku z metra czy też o tych dzieciach ze slamsów Paragwaju, które wyprodukowawszy instrumenty z puszek i odpadów znalezionych na miejskim śmietniku założyły własną orkiestrę. Chodzi raczej o to, by pokusić się o znalezienie czasu dla siebie w najlepszym tego słowa znaczeniu, o ofiarowanie sobie antraktu w życiu poprzez spotkanie ze sobą poprzez formę sztuki, która najbardziej nam odpowiada: poezję, taniec, muzykę czy rysunek; chodzi o to, by wyjść na spotkanie tej innej rzeczywistości i otworzyć się na działanie Nieoczekiwanego. A wtedy, kto wie? Może i ogórek zaśpiewa?

DK



From the series:

## My Travels

### *Israel- Stuck Elevator*

Agnieszka Thomassen



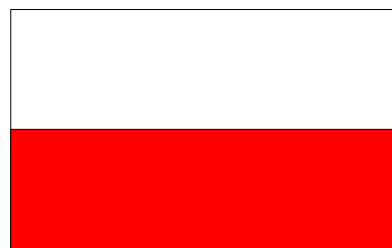
Explosion. Screams. Chaos. Lamenting women trying to wash blood and pain of the innocent, hurt children with their tears. Another terrorist attack, another car explosion, another murder. Terror showing on the faces of the victims in this ghastly event resembled sinners in a medieval painting whom demons were skinning alive in hell. In another places, terrorists stab people, on a border they clash with the police. New, and for the moment, small terrorist groups were created in Palestine- informed the airplane newspapers tourists entering into Israel. A photograph portrayed a few men standing with rifles; their faces covered with black and white scarves, showing lost, cold eyes. It was hard for me to find love in the mirror of their souls. Anger, aggression, hate- probably more towards themselves than towards other people, gave their real character away. In that short moment, I wished for their eyes to see, blindness to pass, the broken eyeglasses that show a distorted reality, to fall off their noses. Today's world has become a vicious cycle, a machine that propels itself. Nobody really remembers anymore who started the war with terrorists that we continue so

Z serii:

## Moje podróże

### *Izrael - Zacięła się winda*

Agnieszka Thomassen



Wybuch. Krzyk. Chaos. Lamentujące kobiety starające się obmyć swoimi łzami krew i ból skrzywdzonych, niewinnych dzieci. Kolejny atak terrorystyczny, kolejna eksplozja samochodu, kolejny mord. Przerazenie malujące się na twarzach uczestników tego okropnego wydarzenia przypominało grzeszników w obrazie średniowiecznym, których demony w piekle obdzierały żywcem ze skóry. W innym miejscu terroryści zaszytyłowali ludzi, na granicy doszło do starcia z patrolem policji. Nowe, choć na razie niewielkie grupy terrorystyczne, powstały w Palestynie - informowały wkraczających do Izraela turystów gazety w samolocie. Zdjęcie ukazywało kilku mężczyzn stojących z karabinami, ich twarze zakryte biało-czarnymi chustami, ukazujące zagubione, zimne oczy. Ciężko było mi się doszukać miłości w zwierciadle ich duszy. Złość, agresja, nienawiść - bardziej chyba w stosunku do siebie samych aniżeli do innych osób, zdradzały ich prawdziwe oblicze. W tamtej krótkiej chwili zapragnęłam, żeby ich oczy przejrzały, zaślepienie minęło, spadły z nosa potłuczone okulary, przez które widać zniekształconą rzeczywistość. Dzisiejszy







stubbornly. Sometimes it occurs to me that there are people who carry on with further attacks just because they do not have a better reason for living. They destroy for the very act of destroying. Still the most horrifying in all of this is the fact that we, "the good" people, want to get rid of terrorists, in the same time are becoming terrorists ourselves...

Before my trip I already had a rather adverse idea about Israel, mainly created by the media. Israeli newspaper only heightened my fear; even earlier my definition of the country contained mostly negative vocabulary: enemies, weapons, radicalism, extremists, victims, and bombs. I associated Israel mainly with problems, strange traditions, orthodoxy, terrorism, and an antimissile shield. I thought that people, preoccupied with living in constant fear and danger, lived a nomadic life style, in mud huts, and women were unable to read and write! I was never interested in this country, just because they have their own problems, so different than ours, the more typical European ones. Being aware of numerous conflicts in this part of the world, I imagined Israel as a small mouse beleaguered by a group of hungry cats that want to hunt down the small animal.

When I landed in Israel I couldn't wait until I would be able to plunge into its cultural legacy like into deep water and dive amongst fabulous coral reefs. Every culture, in my opinion, offers a lot to discover, and is full of both beautiful pearls and colorful fish, as well as dangerous places, in which the sunken ships are surrounded by sharks and sea snakes. Television programs do not show the real life of Israelis, their rich traditions, history, scientific findings, beautiful architecture; at least I haven't seen this in any program on TV. The world is being portrayed with exaggerated realism, creating pseudo reality; contents are selective, usually chasing



świat stał się błędnym kołem, maszyną, która siebie sama napędza. Nikt już tak naprawdę nie pamięta kto jest odpowiedzialny za terrorystyczną wojnę, którą tak uparcie prowadzimy. Czasami wydaje mi się, że są osoby, które dokonują dalszych ataków tylko dlatego bo nie mają lepszego pomysłu na życie. Niszczą dla samego aktu niszczenia. Ale i tak najbardziej przerażające jest to jak bardzo, my „dobrzy” ludzie pragniemy pozbyć się terrorystów, sami stając się terrorystami...

Już przed podróżą miałam raczej niekorzystne wyobrażenie na temat Izraela, głównie wykreowane w mediach. Izraelskie gazety tylko spotęgowały mój strach. W mojej definicji tego kraju już wcześniej przewijało się negatywne słownictwo: wrogowie, broń, radykalizm, ekstremiści, bomby, ofiary... Izrael kojarzył mi się głównie z problemami, dziwnymi tradycjami, skrajną ortodoksją, terroryzmem i tarczą antyrakietową. Myślałam, że ludzie zaabsorbowani życiem w ciągłym niebezpieczeństwie prowadzą koczowniczy tryb życia, mieszkają w lepiankach, a kobiety nie potrafią czytać i pisać! Nigdy nie interesowałam się tym krajem, no bo po co, skoro oni mają swoje problemy, tak odmienne od naszych, typowo europejskich. Zdając sobie sprawę z licznych konfliktów w tej części świata, wyobrażałam sobie Izrael jako małą myszkę osaczoną przez grupę wygłodniałych kotów, które chcą upolować zwierzątko.

Kiedy wylądowałam w Izraelu, nie mogłam doczekać się kiedy będę już mogła zanurzyć się w jego dziedzictwo kulturowe niczym w głęboką wodę i nurkować pośród bajecznych raf koralowych. Każda kultura ma według mnie wiele do odkrycia i jest pełna zarówno pięknych perełek i kolorowych ryb, jak i miejsc niebezpiecznych, w których zatopione statki otoczone są przez rekiny i węże morskie. Telewizja nie pokazuje



after cheap sensationalism. The news bombards us with the information that has no value, nor does it contain any truth. I remember a case of one of the reality shows: "Man vs. Wild" (known to a Polish viewer as "The School of Survival") in which the main character was supposed to live in a very adverse environment, eat whatever he would find in the forest, struggling with the wilderness that surrounded him. It turned out that the host, Bear Grylls, "born to live in nature," was sleeping in a hotel, taking showers in the hotel bathroom, and getting assistance from the team in different situations requiring survival. Bearing in mind hypocrisy of TV programs, not only the reality series, I believed in my heart that I would discover something more in Israel that overrepresented violence, rape, and general demolition. I decided that I would have no expectations concerning my visit. I erased existing stereotypes, became a blank card, on which, spontaneously, my experience was supposed to be drawn. Anew, I discovered a child inside of me, a child who's hungrily absorbing what she sees and hears, and who soaks in the world, just like the sponge soaks up the water.

Anxiously, I put my very first step at the Airport...

Ben Gurion Airport was enormous and it surprised me with its modern architecture. Essentially, I liked it more than the messy Heathrow Airport in London, or the concrete airport in Dublin. The airport in Tel Aviv looked a bit like a huge American museum, something in style of the Museum of Natural History in Chicago, in which fascinating anthropological discoveries from Egypt, Tibet, and both Americas are placed. It is there where, in the middle of the entry hall, an impressive and the most complete skeleton of a T-Rex in the world, is presenting itself proudly and frighteningly. Back at the airport, standing on a landing, sixth



prawdziwego życia Izraelczyków, ich bogatych obyczajów, historii, odkryć naukowych, pięknej architektury; bynajmniej ja takiego programu nigdy nie widziałam. Świat jest ukazywany z przesadnym realizmem, tworząc pseudo rzeczywistość, treści są wybiórcze i zazwyczaj gonią za taną sensacją. Wiadomości bombardują nas informacjami, które nie posiadają żadnej wartości ani, często, prawdy. Pamiętam przypadek jednego z reality show „Man vs. Wild” (znany w polskiej telewizji jako „Szkoła przetrwania”), w którym uczestnik miał żyć w bardzo niekorzystnych warunkach, jeść tylko to co znalazł gdzieś w lesie, zmagając się z dzikością środowiska, które go otaczało. Okazało się, że prowadzący, Bear Grylls, „urodzony, do życia w naturze,” spał w hotelu, brał prysznic w hotelowej łazience, oraz uzyskiwał pomoc od ekipy w różnych sytuacjach wymagających przetrwania. Mając na uwadze zakłamanie programów telewizyjnych, nie tylko z serii „reality”, wierzyłam w głębi serca, że odkryję coś więcej w Izraelu poza nad reprezentowaną przemocą, gwałtem i ogólnym zniszczeniem. Postanowiłam sobie, że nie będę miała żadnych oczekiwań dotyczących mojej wizyty. Wymazałam istniejące stereotypy, stałam się białą kartą, na której spontanicznie miały rysować się moje doświadczenia. Na nowo odkryłam w sobie dziecko, które łapczywie przyswaja to co widzi i słyszy, które nasiąka światem jak gąbka wodą.

Pełna obaw, postawiłam swój pierwszy odważny krok na lotnisku. Lotnisko Ben Guriona było monstrualne i zaskoczyło mnie swoją nowoczesną architekturą. W sumie podobało mi się ono bardziej od pełnego bałaganu lotniska Heathrow w Londynie czy ciasnego, betonowego lotniska w Dublinie. Lotnisko w Tel Awiwie, wygląda trochę jak potężne amerykańskie muzeum, coś w stylu Muzeum Historii Naturalnej w Chicago, w którym znajdują się fascynujące odkrycia antropologiczne z Egiptu,





floors high, the people looked like lines of ants slowly walking towards the exit or the entry of the large building. The airport reminded me also of a Pantheon in Rome, or other ancient temple, in which gods are being worshipped, rather than the place from which the airplanes are taking off or landing. I admired the high, gold columns, supporting several meters high ceilings in the monumental room, the size of the baseball field. I tried to decode the meaning of the square and rectangular panes presenting different cultural contents, hung on the walls inlaid with the canary-colored facing. I wouldn't be surprised at all if I would see glass exhibitions with mummified remains dug 3000 years ago in Jerusalem or other Israeli artifacts from the Bronze Age there. The space of the building and its mood are leading the visitors into the unknown, ancient times.

A taxi, ordered earlier, picked me up from the airport. Entering the city, I admired the combination of very modern buildings, stroking the clouds, glistening skyscrapers, and destroyed, low, scratched buildings that looked like somebody just dropped a bomb on them. Numerous silver and squeaky-clean superstructures interspersed with tiny quadrangular huts. One could see influences of the Western culture woven into the traditional plait. I had never seen such two different worlds that were mixed together like a Spanish Paella dish. The differences in the architecture were so large that they kind of look like the fruit salad to which somebody added a pickled cucumber and a herring. However, these cultural differences are very interesting for an average European who is accustomed to the homogeneity of his own country.

My excitement was blown away with downpours that lasted the entire week, with small breaks. The climate change is easily noticeable in Israel,



Tybetu i obu Ameryk. To tam dumnie i przerażająco prezentuje siebie w samym środku wielkiej sali olbrzymi, imponujący i najlepiej skompletowany T-Rex na świecie. Stojąc na pierwszym piętrze otwartego loftu na lotnisku, który jest na wysokości szóstego piętra w bloku mieszkalnym, obserwowałam ludzi, którzy wyglądali jak szeregi mrówek dreptających do wejścia lub wyjścia wielkiego budynku. Lotnisko przypominało mi też trochę Panteon w Rzymie, lub inną świątynię starożytną, w której czci się bogów, a nie miejsce, w którym lądują i startują samoloty. Podziwiałam wysokie „złote” kolumny podtrzymujące kilkunastumetrowe sufity w monumentalnej sali o wielkości stadionu baseballowego. Starałam się odszyfrować znaczenie kwadratowych i prostokątnych taflí przedstawiających różne treści kultury, zawieszonych na ścianach wyłożonych piaskową okładziną w kanarkowym kolorze. W sumie to nie zdziwiłabym się gdybym na lotnisku Ben Guriona zobaczyła szklane wystawy ze z mumifikowanymi szczątkami wykopanymi 3000 lat temu w Jerozolimie lub inne artefakty izraelskie z epoki brązu. Przestrzeń budynku i jego nastrój wprowadzają przyjezdnych w nieznane, zamierzchłe czasy.

Z lotniska odebrała mnie zamówiona wcześniej taksówka. Wjeżdżając do miasta podziwiałam kombinację osiedli z bardzo nowoczesnymi, muskającymi niebo, połyskującymi drapaczami chmur oraz zdartych i zniszczonych niskich budowli, które wyglądały jakby ktoś dopiero co zrzucił na nie bombę. Liczne srebrne i wypucowane wieżowce przeplatały się z maleńkimi piaskowymi, czworokątnymi domkami. Widać było wpływy kultury zachodniej wplecionej w tradycyjny warkocz. Nigdy wcześniej nie widziałam tak odrębnych dwóch światów, które były wymieszane ze sobą jak składniki hiszpańskiej potrawy Paelli. Różnice w architekturze budynków są tam tak duże, że wyglądają jak sałatka owocowa, do której ktoś pomyłkowo dodał kiszzonego ogórka i śledzia. Ale to





and cause exceptionally strong rainfalls that block and paralyze the roads. We were driving on the motorway that looked like a muddy river in the Amazonian Forest. Great streams of water flowed down with a thud, bouncing off the concrete walls, flooding the land. It looked like whitewater kayaking, in which instead of the kayaks, the cars were the participants. The drivers were trying to keep the control over the sliding vehicles, and flowed down the road executing maneuvers on the edge of human abilities. The water was running down the windows of the taxi, occasionally showing bend palm trees of which leaves swayed in ecstasy, moving in the rhythm of some African dance. All in all, it would be better if we had sailed a gondola because it would facilitate the whole trip.

When, finally, we arrived at the hotel I breathed a sigh of relief. I looked around and felt like a doughnut in butter. The hotel was located on the beach, and the room on the 10th floor had a sea view. I had seen a lot in my life but this was a more colorful, more interesting, more luxurious experience (not necessarily in a material way). I was delighted. All of my senses were engaged in admiring the night view from the balcony. The sunset unfolded before me as a huge hand fan, presenting the colors of turquoise and purple, through which broke the outspread stripes of sharp white. Tiny Sun- copied like through the carbon paper- twinkled on the ground floor in blue water, in the gigantic swimming pool. The storm suddenly died away, dangerous clouds were quickly scrolling through the horizon, pushed by the wind. Chaos that was madly ramping throughout the day in the sky and on Earth became just a memory. Wet roads reflected the light from the street lanterns creating green stripes in twilight. The pink little cars were blinking in the light caused by the flowing down rainwater. The view from the skyscraper reminded me of a famous



właśnie tego typu różnice kulturowe są najbardziej ciekawe dla przeciętnego Europejczyka, który przyzwyczajony jest do homogeniczności swojego kraju.

Moje podekscytowanie zostało rozwiane mocną ulewą, która trwała cały tydzień, z małymi przerwami. Zmiany klimatyczne są bardzo widoczne w Izraelu, powodują wyjątkowo silne opady deszczu, blokują i paraliżują drogi. Jechaliśmy autostradą, która wyglądała jak błotna rzeka w Puszczy Amazońskiej. Wielkie strumienie wody płynęły w dół, z hukiem odbijając się od betonowych ścian. Huraganowy wiatr tworzył fale na szerokiej ulicy, uderzając w samochody, zatapiając ziemię. Wyglądało to trochę jak kajakarstwo górskie, w którym zamiast kajaków uczestniczyły samochody. Kierowcy starając się utrzymać kontrolę nad ślizgającymi się pojazdami, spływali drogą wykonując manewry na granicy ludzkich możliwości. Woda spływała po szybach taksówek, od czasu do czasu ukazując wygięte palmy, których liście chwiały się w ekstazie, poruszając się w rytm jakiegoś afrykańskiego tańca. W sumie to lepiej by było gdybyśmy płynęli gondolą, bo to usprawniłoby nam całą wyprawę.

Kiedy, w końcu, dojechaliśmy do hotelu, Kodetchnęłam z ulgą. Rozejrzałam się i poczułam się jak pączek w maśle. Hotel był położony na plaży, pokój na 10 piętrze miał widok na morze. Dużo w życiu widziałam, ale to było nowe doświadczenie, bardziej kolorowe, bardziej ciekawe, luksusowe (nie tylko materialnie). Byłam zachwycona. Wszystkie moje zmysły zostały zaangażowane w podziwianie wieczornego widoku z balkonu. Zachód słońca rozłożył się przede mną jak ogromny wachlarz, ukazując kolory turkusu i fioletu, przez który przebijały się rozczapierzone pasemka wyraźnej bieli. Małe słońce - kóteczko odrysowane jak przez kalkę - migotało na parterze w niebieskiej







Las Vegas Boulevard, glistening with colorful lights. I only missed Elvis Presley singing his famous "Viva Las Vegas!" song. Sudden silence, after earlier tearing of possibly every cloud in the sky, led me into a state of general relaxation. Listening to the rustle of the sea, wrapped in the colors of the night, I fell down on the bed from tiredness...

CDN

**Agnieszka Thomassen**  
**foto Agnieszka Thomassen**



wodzie, w olbrzymim basenie. Sztorm nagle ucichł, groźne chmury szybko przewijały się przez nieboskłon, popychane wiatrem. Chaos, który szalał przez cały Boży dzień na niebie i na ziemi, był już tylko wspomnieniem. Mokre ulice odbijały światło z zapalonych latarni, tworząc zielonkawę pasy w półmroku. Różowe samochodziki migotały w świetle spływającej jeszcze po nich wody deszczowej. Widok z wieżowca przypominał mi słynne Las Vegas Boulevard, połyskujące różnokolorowymi światłkami. Brakowało mi tylko Elvise Presleya śpiewającego: „Viva! Las Vegas!” Nagła cisza, po wcześniejszym oberwaniu się chyba każdej jednej chmury na niebie, wprowadziła mnie w stan ogólnego rozluźnienia. Wsłuchując się w szum morza, otulona kolorami nocy, padłam na łóżko ze zmęczenia...

CDN

**Agnieszka Thomassen**  
**foto Agnieszka Thomassen**







NASZE ŻYCIE JEST TAKIM, JAKIM UCZYNIŁY  
JE NASZE MYŚLI.  
MAREK AURELIUSZ

